Rok X. Kraków-Podgórze piątek 12 lipca 1912. Nr. 155

3 Cena numeru 3 centy (Miejscowi w Krakowie, w Podgórzu i na prowincyi).
PRENUMERATA miesięcznie, w Krakowie już z doręczeniem do domu K 1·50 na prowincyi z przesyłką pocztową K 1·50. Prenumerata za granicą: mk. 1·50, fr. 2, rb. 1.
Pojedyncze egzemplarze nabywać można we wszystkich agencyach pism i na wszystkich dworcach kolej.

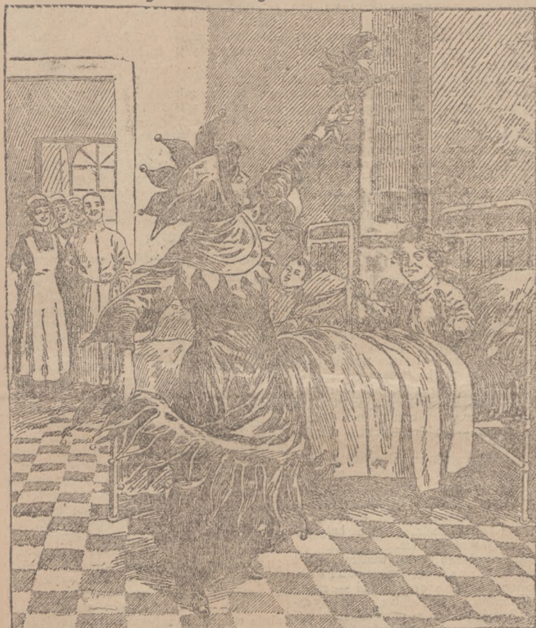
NOWINY
DZIENNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIA za wiersz petitu 16 h., za każdy następny raz po 12 h.; drobne ogłoszenia po 4 h. od wyrazu (minimum 50 h.). Nadesłane za wiersz petit 50 h. Spód na każdej stronie po koron 6·—. Załączniki K 20·— za tysiąc.
Ogłoszenia przyjmuje tylko Biuro dzienników i ogłoszeń Maryana Hupczyca w Krakowie, Jagiellońska 7.
Administracya „NOWIN": ul. św. Gertrudy 10 otwarta od godz. 8 rano do 8 wieczorem.

Redakcya i Administracya: Kraków, ul. św. Gertrudy 10. Telef. 340. „Nowiny" wychodzą o godz. 1½ popoł. codziennie z wyjątkiem świąt.

Trup bez głowy na torze kolejowym.

Dozorczyni chorych w roli arlekina.



(Opis wewnątrz numeru.)

Klęska ministra wojny.

(Od naszego korespondenta).

Wiedeń, 10 lipca.

Minister wojny generał Auffenberg poniósł klęskę, występując z żądaniami nadzwyczajnych kredytów wojskowych. Dowiódł tedy, że nie dorasta do wysokości powierzonego mu urzędu. Minister wojny powinien dbać nie tylko o utrzymanie armii w pogotowiu i zapewnienie tejże armii należytej siły bojowej, lecz powinien także czuwać nad utrzymaniem powagi monarchii, powinien unikać wszystkiego, co na zewnątrz mogłoby wywołać wrażenie, że armia znajduje się w stanie niekompletnym.

W tym celu było obowiązkiem generała Auffenberga poinformować się nasamprzód poufnie u obu rządów, austryackiego i węgierskiego, czy będą mogły podołać nowym wydatkom na wojsko, łącznie z wydatkami dawnymi już poprzednio przyjętymi. Dopiero wtedy, gdyby otrzymał odpowiedź przychylną, generał Auffenberg miał prawo wystąpienia oficyalnie z nowemi żądaniami. Takie postępowanie byłoby go uchroniło od zawodu i równocześnie byłoby uchroniło monarchię od bardzo nieprzyjemnego wywołania wrażenia za granicą, że finanse państwa nie znajdują się w świetnym stanie i armii austro-węgierskiej dużo jeszcze brakuje urządzeń, skoro minister wojny musiał się domagać ćwierć miliarda koron i to domagać się naprózno.

Tymczasem generał Auffenberg postąpił jak młodzik lekkomyślnie i bez zastanowienia. Nie pytając się ani rządów ani ministrów skarbu, czy będą mogli uczynić zadość jego wymaganiom, zgłosił te wymagania oficyalnie na wspólnej radzie ministrów. Doświadczenie powinno było go pouczyć, że niema mowy o zachowaniu w takich wypadkach tajemnicy. W ten albo ów sposób zawsze owa tajemnica czy to z posiedzenia klubów parlamentarnych, czy to z narad ministeryalnych wychodzi na jaw, dostaje się do wiadomości publicznej i nabiera wielkiego rozgłosu. Jak teraz generał Auffenberg wygląda, gdy jego żądania odrzucono i uchwalono poprzestać na dawniejszym programie, ułożonym przez poprzedniego ministra wojny generała Schönaicha! Ten program obejmuje lata 1911—1915 i przeznacza 200 milionów koron poza wydatkami zwyczajnymi i nadzwyczajnymi na cele wojskowe. Jest to suma bardzo poważna i musi na razie armii austryacko-węgierskiej wystarczyć.

Nadto należy pamiętać, że wprowadzenie 2 letniej służby wojskowej będzie kosztowało 80,000.000 koron jednorazowo i potem o 70,000.000 koron rocznie więcej, niż poprzednio. Czy społeczeństwo zdoła pod formą pracy tych ludzi, którzy będą służyli dwa lata, zamiast trzech lat, wydostać odpowiednią sumę, jaka zrównoważy nowe wydatki, spowodowane zaprowadzeniem 2 letniej służby wojskowej, pokaże się to za lat kilka.

Wobec tych wydatków przeprowadzenie reformy finansowej, która jest tylko łagodniejszem wyrażeniem na oznaczenie potrzeby uchwalenia nowych podatków, staje się koniecznością wręcz naglącą. Pod tym kątem widzenia należy się zapatrywać na pośpiech rokowań ugodowych czesko-niemieckich. Dalszym następstwem tej ugody będzie stworzenie stałej większości Izby poselskiej. Pierwszem zadaniem tej większości będzie przeprowadzenie reformy finansowej, z której część lwia pójdzie na wydatki wojskowe.

Amon.

Po pożarze na wieży Maryackiej.

Konieczność natychmiastowego zwołania ankiety ekspertów.

Dopiero dzisiaj ochłonęło miasto z przerażenia, jaki wywołał onegdajszy, drobny pożar na szczycie wieży Maryackiej. Pożar ten odbił się głośnem echem na wszystkich ziemiach polskich - a współczucie jakie się objawiło wszędzie, gdzie mowa polska rozbrzmiewa, jest miarą tego pietyzmu, tej czci, jaką Kościół N. Maryi Panny otoczony jest w narodzie. Uniknęliśmy katastrofy na-

rodowej, prawdy tej nie należy taić i tem snadniej z uczuciem ulgi dzisiaj ją wypowiedzieć, skoro szczęśliwym zbiegiem okoliczności najcenniejszy klejnot gotycki, symbol chwały narodowej, cudownie ocalał i ostał się przed niszczącym żywiołem.

Ze skonstatowania powyższego faktu wynika jednak szereg wskazań na przyszłość. Wieża Maryacka nie śmie i nie powinna nigdy więcej być narażoną **choćby na ewentualność** jakiejkolwiek katastrofy, a władze i czynniki — opiekujące się świątynią — powinny uczynić wszystko co w mocy ludzkiej, aby taka ewentualność raz na zawsze zniknęła ze sfery przypuszczalnych możliwości. Wiedza techniczna poczyniła tak olbrzymie postępy, że wydaje się nam igraszką walka geniusza ludzkiego z niszczącym żywiołem pożaru, choćby nawet przez piorun wywołanego. Kwestya kosztów — choćby jak największych — w tym wypadku najmniejszej roli nie powinna odgrywać. Tuszymy, że w razie zaapelowania do ofiarności narodu, na cel powyższy znajdzie się każda suma. Nie wolno więcej lekkomyślnie narażać wieży Maryackiej na możliwość jakiegokolwiek szwanku. Ze zgrozą dowiedział się Kraków i naród, że na wieży Maryackiej nie było nawet gromochronu... Dzisiaj pospieszono złe naprawić i wydelegowano komisyę, która zbada istotny stan rzeczy i zapowiedziała jaknajszybsze umieszczenie gromochronu oraz ustawienie kubłów z wodą na poszczególnych piętrach wieży.

Naszem zdaniem środki te nie wystarczają. Nie możemy się oprzeć wrażeniu, że należy przedsięwziąć coś więcej, że należy kwestyę zabezpieczenia wieży maryackiej rozpatrzeć gruntownej i dokładniej. Sądzimy, że jedyną drogą, prowadzącą do tego celu, **jest zwołanie ankiety ekspertów** tak naszych jak zagranicznych, którzyby dokładnie rzecz na miejscu zbadawszy, wydali w tej materyi fachowe orzeczenia. Wyniki zaś tej ankiety powinny być podstawą praktycznych zarządzeń, mających na celu zabezpieczenie wieży Maryackiej przed jakąkolwiek katastrofą. Odpowiedzialność jest za wielka — gmina Krakowa jest tylko depozytaryszem najcenniejszej pamiątki narodowej — aby drobna komisya miejska miała decydować w tak ważnej ogólno-narodowej sprawie. Panowie członkowie wczorajszej komisyi miejskiej, których wiedzę fachową w całej pełni uznajemy, nie wezmą nam za złe, że kwestyę w ten sposób stawiamy. Troska o przyszłość wieży Maryackiej podyktowała nam powyższy projekt.

Dzisiaj po południu zbiera się Rada miejska na posiedzenie. Mamy niepłonną nadzieję, że znajdzie się grono radców miejskich, którzy myśl przez nas rzuconą podejmą i w czyn wprowadzą. Inicyatywa do bezzwłocznego przeprowadzenia tej ankiety powinna wyjść z krakowskiej Rady miejskiej, na którą dzisiaj są zwrócone oczy całej Polski. Niech nas Bóg chroni przed zarzutem potomnych pokoleń, iż czynniki krakowskie w decydującej chwili w sprawie wieży Maryackiej wydały zarządzenia po myśli zasady *ut aliquid fecisse videatur*... jeden gromochron i kubły z wodą...

*

Przyczyny i przebieg katastrofy. — Fatalna kula ognista. — Opowiadania naocznych świadków.— Brak gromochronów.— Komisyonalne zlustrowanie wieży. — Środki ochronne.

Pożar na szczycie wieży powstał od pioruna. Fakt to niewątpliwie stwierdzony. Podczas szalejącej onegdaj wieczorem nad miastem burzy, uderzył koło g. wpół do 8-ej piorun w szczyt wieży. Inspicyent restauracyi wieży architekt p. Małkowski zauważył o tej porze ognistą kulę nad linią A-B. Biegła ona zygzakiem ponad domami wzdłuż linii A-B. Na rogu ul. Floryańskiej gwałtownym skokiem zwróciła się ku szczytowi wieży, tam wyładowała elektryczność, poczem w okamgnieniu buchnął słup iskier ponad najwyższem rusztowaniem. P. Małkowski natychmiast udał się po rusztowaniu na szczyt wieży. Zauważył, że klamra żelazna spinająca belki od strony rusztowania była gorąca, czuć było spaleniznę, lecz najmniejszego płomyka nie można było dostrzedz. Zdaje się, że iskry dostały się pod daszek, kryjący słup po zdjętej bani — tam tliły się przez kilka godzin, poczem dopiero wybuchł płomień.

Strażnik wieży maryackiej, starszy pompier p. Zawisza opowiadał, że w wieżę uderzyły aż trzy pioruny. Spaliły one druty przewodowe aparatu telefonicznego i drut prowadzący do strażnicy pożarnej. Strażnik był faktycznie odcięty od świata, a o pożarze — tlejącym kilka pięter po nad nim, nie miał najmniejszego pojęcia. To też centrala pożarna zawiadomioną została o pożarze aparatami telefonicznymi z miasta, które kilkakrotnie po g. 11·35 sygnalizowały pożar na wieży. Gdy straż przybyła na miejsce — jak opowiada naczelnik p. Nowotny — widać było płomień doskonale. Wody z hydrantów, nie można było doprowadzić aż na sam szczyt, gdyż hydranty sięgają najwyżej na 40 m. i nie dochodzą nawet do izby strażniczej. Wobec tego polecił p. Nowotny wziąć konewkę wody z kwasem solnym, gaszącym szybko pożar, poczem sam wraz z brandmistrzem p. Urodą i pompierem p. Nakielnym udał się na górę. Przejście przez ciemne piętra wieży było bardzo utrudnione — latarka rzucała tylko słabe światełko. Blisko szczytu szli pp.: Uroda i Nakielny z rusztowania na rusztowanie po śliskich, karkołomnych deskach z położonymi w poprzek stopniami. Droga na sam szczyt — 70 m. — trwała niespełna 8 minut.

Na samym szczycie buchał płomień, kołysany lekko wiatrem. Z łatwością go zagaszono wodą z konewki, poczem kawałek spalonego daszku i słupa drewnianego odrąbano i usunięto. Daszek spalił się na przestrzeni 2 metrów kwadr., a słupek był zwęglony na wysokości 50 cm.

Niebezpieczeństwo było wielkie, gdyż wieża nie posiada gromochronu. Gdyby nie pomyślne okoliczności — zawilgocenie drzewa i brak wiatru — byłoby całe rusztowanie stanęło w płomieniach, a wówczas wieża i kościół uległyby katastrofie na której myśl krew w żyłach stygnie!

Wczoraj obradowała pod przewodnictwem r. m. Beringera, komisya dla odnowienia wieży Maryackiej. W obradach wzięli udział wszyscy członkowie komisyi, oraz wiceprezydent Sare, architekt Rzymkowski, wreszcie p. dr. Tomkowicz i dr. Muczkowski. Uchwalono w myśl wniosków p. Nowotnego, ustawić na czas aż do ukończenia wszystkich robót na wszystkich piętrach beczki z wodą, wiaderka i sikawki, dalej uchwalono połączyć wszystkie żelazne klamry, wiążące rusztowanie (jest ich około 2000) drutami, aby w razie piorunu prąd łatwiej spływał ku ziemi. Nadto prezydyum miasta zarządziło wprowadzenie stałego pogotowia straży pożarnej; w odpowiedniej ubikacyi będzie stale pełnił służbę jeden strażak, mający na podorędziu sikawki ręczne, zapas wody: ubikacya ta uzyska połączenie ze strażnicą pożarną. Zaprowadzony też będzie gromochron na szczycie wieży.

Co mówi naczelnik straży p. Nowotny?

Sprawozdawca nasz zasięgnął u p. naczelnika straży Nowotnego informacyj w kwestyi zabezpieczenia wieży przed pożarem.

P. naczelnik Nowotny jest zdania, że jeden gromochron na szczycie wieży bynajmniej jeszcze nie daje rękojmi bezpieczeństwa. Obecnie w rusztowaniu drewnianem tkwi 2500 żelaznych klamer: trzebaby je wszystkie z gromochronem drutami połączyć. — Swego czasu, mówił p. N. — przy reperacyi bani na wieży, p. Markus umieścił mały gromochron i połączył go z rurą gazową. Skutek był taki, że przy każdej burzy pioruny wpadały do izdebki strażników, oblatywały ją dokoła i paliły wszystkie przewody... Ostatecznie zdjęto ów niebezpieczny gromochron. Chcąc wieżę i kościół istotnie zabezpieczyć, trzebaby umieszczać na obu wieżach i na dachu gromochrony w odstępach dziesięciometrowych. Jest zresztą bardzo wiele kościołów, które nie posiadają gromochronów...

Wywody p. naczelnika świadczą również, że kwestya zabezpieczenia wieży przed pożarem wymaga gruntownej rozwagi i zasięgnięcia opinii fachowców.

Z SALI SĄDOWEJ.

Oszukańcze manipulacye przedsiębiorcy elektrotechnicznego.

Kraków, 10 lipca.

Przed Trybunałem przysięgłych rozpoczęła się dzisiaj rozprawa przeciw Antoniemu Janowi Friedrichowi, 43 letniemu elektrotechnikowi rodem z Vambergu w Czechach, oskarżonemu o zbrodnię oszustwa i zbrodnię oszukańczej krydy. Friedrich był znanym w Krakowie, zwłaszcza w sferach handlowo-przemysłowych. Ruchliwy, sprytny, zapobiegliwy, potrafił się osłonić fałszywymi pozorami wypłacalnego i solidnego kupca a pod płaszczykiem szumnego „przedsiębiorstwa elektrotechnicznego“, prowadził przez lat kilka systematycznie proceder oszusta i chochstaplera. Akt oskarżenia wylicza 58 nazwisk firm, kupców, fabrykantów, dostawców i osób prywatnych, których Friedrich przez swe oszukańcze manipulacye naraził na szkodę przeszło 50.000 kor. Wyłudzał on towary na kredyt od powyższych firm, towary te sprzedawał za gotówkę, a pieniędzy firmom nie zwracał.

Osobne, poczesne miejsce w obszernym akcie oskarżenia zajmuje rozdział, poświęcony działalności Friedricha na polu wyłudzania kaucyj od przeróżnych funkcyonaryuszy, których angażował do swego biura. Przy pomocy anonsów zwerbował do swego biura buchalterów, kantorzystki, kasyera, manipulantki a od wszystkich osób pobrał znaczne kaucye, na które dawał zabezpieczenie na całym inwentarzu przedsiębiorstwa (nie swoim) oraz na swej policy asekuracyjnej. W ten sposób pobrał następujące kwoty: od M. Wincera 2000 kor., od W. Lincerównej 1000 kor., od K. Piaseckiego (angażowanego na „dyrektora firmy“) 3888 kor., od St. Domagalskiego 3000 kor. a od R. Singera 2000 kor. Wreszcze w grudniu 1909 zwerbował sobie przez podstępne a fałszywe przedstawienie stanu swych interesów, spólnika w osobie p. J. Chranickiego, któ-

ry włożył do przedsiębiorstwa 15.000 kor.

Za pieniądze te zakupiono maszyny, przyrządy oraz towary tak, że dawniejsi wierzyciele Friedricha, którzy dotychczas nie mieli na czem poszukiwać swych pretensyi, znaleźli pokrycie dla swych wierzytelności. Naturalnie p. Chranicki pojęcia nie miał o rozpaczliwym stanie interesów Friedricha.

Oskarżony odpowiada z aresztu śledczego. Mówi łamaną polszczyzną a tłomaczy się wielce wykrętnie.

Trybunałowi przewodniczy r. s. dr Trzaskowski, oskarżenie wnosi prok. dr Olszewski, a broni adw. dr Goldblatt.— Do rozprawy, rozpisanej na 4 dni, powołano kilkudziesięciu świadków, przeważnie poszkodowanych.

Sztuka zabijania własnego męża.

Paryż, 9 lipca.

Społeczeństwu francuskiemu przybył *nowy typ zbrodniarki.* A mianowicie żona, która z tego lub owego powodu chce się pozbyć swojego męża w sposób gruntowny i dlatego zgładza go z świata. Rzecz prosta, nie sama własnoręcznie, lecz z pomocą namówionego lub wynajętego mężczyzny. W pierwszym wypadku, bywa to zazwyczaj kochanek, w drugim indywidyum zwyrodniałe, które za pieniądze jest gotowe popełnić morderstwo.

Przykład dała pani Guillotin. Była właścicielką zamku. Nudził ją mąż znacznie starszy i bardzo pedantyczny. Równocześnie kochał ją kuzyn Houssard. Ponieważ równocześnie kuzyn znajdował się w kłopotach pieniężnych, przeto bardzo chętnie widziałby śmierć pana Guillotin. Dzięki tej śmierci mógłby posiąść kobietę ukochaną i stać się właścicielem zamku. I jedno i drugie uśmiechało mu się w wysokim stopniu. Pani Guillotin kilkakrotnie wobec przyjaciółek wyrażała obawę, że pan Houssard żywi wielką nienawiść do pana Guillotina, tak, iż panu Guillotinowi grozi niebezpieczeństwo. Pewnego dnia Houssard automobilem zajechał przed zamek, rzucił kamyczkiem w okiennicę, a gdy pani Guillotin ukazała się w oknie, zawołał: „Jesteś wolną!“.

Wyglądało to bardzo romantycznie. Ale ta romantyka miała tło nader brutalne. A mianowicie pokazało się, że Houssard zwabił pana Guillotina w zasadzkę i kilkoma strzałami z fuzyi myśliwskiej pozbawił go życia. Sądy skazały go na 20 lat więzienia. Rzecz charakterystyczna, że publiczność urządziła skazanemu burzliwe owacye sympatyczne. Natomiast pani Guillotin musiała się schować przed tłumem, który chciał ją poprostu rozerwać na sztuki. Pani Guillotin bowiem zachowała tyle zimnej krwi, że wystąpiła obok prokuratora jako współoskarżycielka przeciwko swemu krewnemu i zażądała przepisanego prawem jednego franka odszkodowania. Trybunał odrzucił jej żądanie, motywując, że w tym wypadku nie poniosła ani straty materyalnej ani moralnej. Podczas przesłuchania, pani Guillotin, kobieta ładna, oświadczyła, że i mąż i kuzyn, obydwaj kochali ją namiętnie. Nie może jednak przebaczyć kuzynowi, że odebrał jej tak dobrego męża. — Grała swoją rolę wyśmienicie i umiała zatrzeć wszystkie ślady. Prokurator tedy nie zdołał zebrać dowodów i posadzić ją na ławie oskarżonych jako wspólniczkę. Zeznania świadków i przeczytane listy miłosne nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że Houssard działał pod jej wpływem.

Teraz znowu inna mężatka pani Clerc, przełożona pensyonatu panien w Sevres, najęła nałogowego pijaka, którego wypuszczono niedawno z domu obłąkanych, wypłaciła mu 500 franków za zamordowanie męża. — Nie była tak szczęśliwą jak pani Guillotin, sędzia śledczy zdołał udowodnić jej winę i zmusił ją do wyznania. Zasiadła tedy na ławie oskarżonych. Pani Clerc — jak sama przyznaje — czytała z wielkiem zajęciem proces pani Guillotin. — Niewiadomo co ją skłoniło do zamordowania męża. Zdaje się że także miłość i to miłość do nauczyciela języka angielskiego, zajętego w jej pensyonacie. Nadto skarżyła się wobec znajomych, że pan Clerc jest człowiekiem niesłychanie ordynarnym i grubiańskim. — Z zawodu rysownik zarabiał 400 franków miesięcznie, był jednak skąpym i nieużytym.

Między innymi opowiadała też ona o swoim nieszczęśliwym małżeństwie niejakiemu Parattowi, byłemu urzędnikowi kolejowemu, który miał w jej pensyonacie córeczkę. Paratt po stracie żony zaczął pić, dostał obłąkania i był czas pewien w tym szpitalu, aż wreszcie wypuszczono go jako wyleczonego. On sam miał zaproponować pani Clerc, że za 500 franków zamorduje jej męża, przyczem jako obłąkany potrafi udowodnić swoją niepoczytalność i uniknąć kary.

Właścicielka pesyonatu wynajęła mu pokój i opracowała z nim dokładnie cały plan morderstwa. Poszła tedy z mężem w Paryżu do teatru, następnie namówiła go na kolacyę i dopiero po północy stanęła z powrotem przed swoją willą w Sevres, gdzie się znajdował jej pensyonat. Pan Clerc zamykał furtkę w parkanie, gdy tuż w pobliżu niego dano do niego strzał z fuzyi. Clerc miał na tyle siły, że pobiegł za żoną do domu i zaryglował drzwi wchodowe. Służąca na odgłos strzału otworzyła okno, by wołać o pomoc i widziała jakiegoś mężczyznę, który przez parkan uciekał na ulicę. Pani Clerc z zimną krwią zaprowadziła swojego męża do łóżka i oświadczyła służącej, że rana jest lekką.

O świcie poszła do apteki i opowiedziała tam, że jej męża lekko postrzelono i prosiła o wskazówki, co ma robić dalej. Dano jej flaszeczkę jodu. Dopiero później wiadomość o tym wypadku doszła do żandarmeryi. Gdy żandarm przyszedł do willi, zastał pana Clerc już konającego. Konający miał na tyle przytomności, że oświadczył, by jego mordercę szukano wśród ludzi, których kiedyś może obraził skutkiem swojego gwałtownego charakteru. Po tych słowach skonał nie podejrzywając, że właśnie morderstwa dopuściła się jego własna żona. Sędzia śledczy zabrał się tak zręcznie do dzieła, że po sześciogodzinnem przesłuchaniu zmusił panią Clerc do zupełnego wyznania.

Potem pani Clerc oświadczyła, iż nigdy nie przypuszczała, iż sędzia śledczy potrafi zmusić ją do powiedzenia prawdy. Zabrakło jej energii i silnej woli, tej silnej woli, którą miała podczas układania planu morderstwa i w dzień samego morderstwa. Można sobie wyobrazić, że siedziała ona w teatrze przy boku męża, o którym wiedziała, że najęty przez nią morderca, zastrzeli go za kilka godzin. Zjadła z nim jeszcze kolacyę i widziała, jak zaczajony morderca celuje do jej męża i strzela.

Pani Clerc wyznała otwarcie, że była przekonaną o bezkarności swojego postępu. Nikt na świecie nie przypuściłby, że eks-waryat zostanie wynajętym do rozlewu krwi. I ta wychowawczyni młodych dziewcząt nie żałuje swojego postępku. Gdy sędzia śledczy przeczytał jej rozkaz aresztowania, wprawdzie zaczęła płakać, ale wśród łez wykrzyknęła: „To także mam „Mu“ do zawdzięczenia!“ Pod tym wyrazem „Mu“ rozumiała męża, którego się pozbyła w sposób tak okrutny.

Trup bez głowy.

Zagadkowa zbrodnia.

Budapeszt, 10 lipca.

Na torze kolejowym między Budapesztem, a Debreczynem spostrzegł onegdaj budnik trupa właśnie w chwili, kiedy pociąg nadjeżdżał. Nie mając już czasu na usunięcie zwłok, dał sygnał wstrzymania pociągu, który stanął tuż przed trupem. Wtedy dopiero on i służba pociągu zauważyła, że trup jest bez głowy. W pierwszej chwili przypuszczano, że ma się do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem przejechania przez pociąg, przyczem nie wykluczonem było samobójstwo. Powiadomiono więc o tem najbliższe stacye kolejowe, na których natychmiast zarządzono dochodzenia, który z pociągów spowodował wypadek. Okazało się jednak, że na kołach wozów, które ostatnio przejeżdżały tym torem, nie było śladów krwi — przeprowadzone natomiast na miejscu znalezienia trupa dochodzenia komisyi sądowo lekarskiej, naprowadziły na ślad zagadkowej zbrodni. W rowie, tuż kolo toru odkryto mianowicie głowę, należącą do trupa. Nie ulega więc wątpliwości, że dokonano morderstwa, a złoczyńcy dla zatarcia zbrodni porzucili na torze zwłoki. Zarządzono za nimi pościg.

Szczęście i mienie pastwą pożaru.

Śmierć matki z dzieckiem w ogniu. — Rozpaczliwy czyn ojca.

Praga, 10 lipca.

Do pism tutejszych donoszą:

Wczoraj wieczorem powstał z niewiadomej przyczyny pożar w domu zamożnego wieśniaka Józefa Marcka w Podmoklanie. Zanim pożar zdołano umiejscowić, zajęła się także stojąca w pobliżu stodoła. W chwili gdy sąsiedzi nadbiegli z pomocą na ratunek, zobaczyli gospodarza biegającego w szale rozpaczy koło płonącego obejścia. — Zatrzymany przez sąsiadów upadł na kolana i wśród rozdzierającego płaczu błagał przybyłych o ratunek żony, która wraz z małem dzieckiem znajdowała się w domu.

Ratunek okazał się niemożliwy, do płonącego bowiem domu nie można było się zbliżyć — śmiałek poniósłby napewno śmierć w płomieniach. Starano się wszelkiemi sposobami uspokoić rozpaczającego męża i ojca nad swojem nieszczęściem — gdy nagle rozległ się w płonącej stodole przerażający krzyk a następnie płacz dziecka. Otaczający wieśniaka tłum zwrócił się ku stodole, ale wpierw nim dowiedziano się, kto płacze — wyrwał się Marck przytrzymującym go i wpadł do stodoły.

Obecnych ogarnęło przerażenie, nie ulegało bowiem wątpliwości, że szaleniec zginął w płomieniach. — Stało się przeciwnie: ocalał i uratował od śmierci starszą kilkoletnią córeczkę. Ona jedyna pozostała mu tylko, bo z pośród zgliszczy wydobyto już tylko zwęglone zwłoki żony i młodszego dziecka.

Rozpacz nieszczęśliwego nie ma granic, pożar pochłonął mu wszystko: szczęście rodzinne i mienie — został nędzarzem.

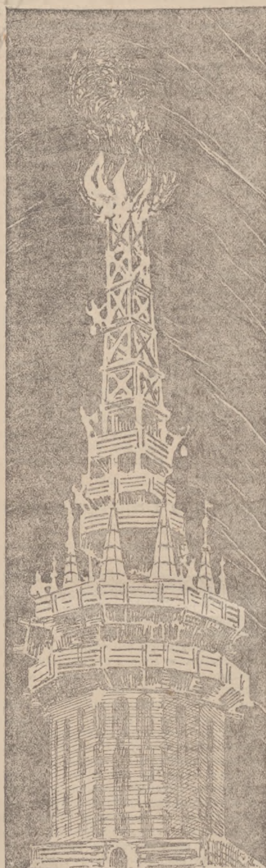
Z miejskiej targowicy na bydło w Krakowie.

9 lipca.

Na targ spędzono bydła rogatego 6,7 cieląt 202, owiec 2, nierogacizny 460, razem 731 zwierząt. Płacono za 1 cent. metr. żywej wagi: buchaje od — do — k., woły od — do — k., krowy od — do — k., jałownik od — do — k., cielęta od — do — k., nierogaciznę tuczną od — do —; bitej wagi: nierogaciznę od 160 do 174 k. Z zakupionych na oko płacono za sztukę: buchaje od 210 do 500 k., woły od 300 do 400 k., krowy 160 do 240 k., jałówki od 100 do 330 k., cielęta od 28 do 82 k., owce od — do — k. Ze spędzonych na targ zwierząt sprzedano sztuk: na miejscową konsumcyę 655, na konsumcyę innych gmin kraju 76, na eksport za granicę kraju bydła rogatego 6, na eksport za granicę kraju nierogacizny —. Ceny powyższe obliczono bez opłaty akcyzowej.

Pożar wieży Maryackiej.

W nocy z wtorku na środę o godz. w pół do dwunastej.



Specyalny rysownik „Nowin“, wysłany w nocy na rynek, wiernie przedstawił na tej ilustracyi obraz płonącego szczytu i dzielną akcyę spieszących się na wieżę strażaków.

Camorra włoska przed sądem.

Viterbo, 10 lipca.

Po 16-miesięcznej rozprawie ogłoszono wczoraj wyrok w procesie 42 zbójów, członków Camorry. (Oskarżono ich o zamordowanie członka Camorry i jego żony za zdradzenie tajemnicy Camorry). Wygłoszenie orzeczeń trwało 4 miesiące. Pomimo pogróżek, sędziowie przysięgli jednomyślnie potwierdzili postawione im pytania.

Na podstawie tego werdyktu trybunał skazał bezpośrednich sprawców na 30 lat, współwinnych na 12—25 lat więzienia. Między innymi skazano na 12 lat księdza Vitozzi, który był kapelanem Camorry. Po ogłoszeniu wyroku przyszło do burzliwych scen. — Jeden ze skazanych nazwiskiem Marini, połknął gwóźdź, który stanął mu w gardle. — Dokonano natychmiast operacyi. Stan jego zdrowia groźny.

Wyrok był znacznie surowszy, niż się spodziewano.

Dozorczyni chorych w roli arleknia.

(Patrz ilustracye na stronicy 1-szej).

Pewna pielęgniarka chorych w jednym z londyńskich szpitalów straciła miejsce z powodu dobrego uczynku. A stało się to tak: W oddziale panny Mary był chory chłopiec, któremu pielęgniarka opowiadała często historye ze swego życia w teatrze — bo była przedtem, nim się poświęciła pielęgniarstwu, aktorką. — Opowiadania te tak zainteresowały chorego chłopca, że kilka razy wyraził życzenie zobaczenia teatralnego przedstawienia. Często także słyszano, jak chłopiec we śnie fantazyował na temat teatru. Dobra siostra Mary, pragnąc spełnić życzenie swego ulubieńca (ma się rozumieć o tyle, o ile to było możliwem w warunkach szpitalnych) — przebrała się w kostyum arlekina. Przebrana w ten sposób, rozpoczęła śpiewać wesołe piosnki wśród swawolnych pląsów. Radość małego pacyenta nie miała granic, ale nie tylko on był zachwycony grą siostry — także inne pielęgniarki, a nawet lekarz nie szczędził jej oklasków i wyrazów uznania. Inaczej jednak zapatrywał się na to przedstawienie filisterki dyrektor zakładu — uznał je za ubliżające godności siostry miłosierdzia i zarządził wydalenie Mary ze zakładu. Postępek dyrektora wywołał łatwo zrozumiałe wzburzenie opinii publicznej i na skutek licznych interwencyi srogi dyrektor musiał cofnąć swoje zarządzenie.

Zwycięstwo tureckiego spisku oficerskiego.

Ustąpienie ministra Mahmuda Szefketa-paszy i całego gabinetu. — Obawa wybuchu rewolucyi.

Wczoraj doniosły telegramy, że turecki minister wojny Mahmud Szefket-pasza wniósł prośbę o dymisyę, którą natychmiast otrzymał. Mahmud, najdzielniejszy i najtęższy oficer turecki, był zarazem najsilniejszą podporą komitetu Młodoturków. — Mahmud Szefket wsławił się i zyskał niesłychaną popularność od chwili, gdy przed trzema laty na czele swego korpusu salonickiego pospieszył co tchu pod mury Konstantynopola, gdzie sułtan Abdul-Hamid zainicyował kontrrewolucyę, zdławioną w potokach krwi i zakończoną wygnaniem Abdul-Hamida.

Dymisya ministra wojny Mahmuda Szefket paszy **jest wielkiem zwycięstwem zbuntowanych.** Sądzą, że dymisya ministra wojny jest początkiem upadku komitetu młodotureckiego. **Dymisya całego gabinetu jest nieunikniona.** Także cały sztab generalny ma stać po stronie opozycyi. Jako znaczący moment podnoszą, że następcą Mahmuda Szefketa paszy ma być Nazim bej, przyjaciel Kiamila paszy, byłego wielkiego wezyra za czasów Abdul Hamida.

Obecnie **obawiają się wybuchu rewolucyi w całej Turcyi** przeciw komitetowi młodotureckiemu.

Zaginiona Krakowianka w Tatrach.

Zakopane, 10 lipca.

Panny Szystowskiej, o której zaginięciu w Tatrach donosiliśmy wczoraj, nie zdołano mimo energicznych poszukiwań odszukać.

Wczoraj wyruszyło drugie wzmocnione pogotowie ratunkowe pod wodzą p. Maryusza Zaruskiego w lasy od południowej strony Krzesawicy i Czerwonych Wierchów. Istnieje bowiem przypuszczenie, że panna Szystowska poszła od szczytu Krzesanicy w las, chcąc się dostać do Zakopanego i błąka się po lasach, które w tej okolicy są bardzo rozległe. Przypuszczenie to jest tem prawdopodobniejsze, że panna Szystowska była w górach po raz pierwszy.

Wczoraj po południu spadł w Zakopanem i w górach ulewny deszcz, który utrudnił znacznie poszukiwania. Ekspedycye ratunkowe zarówno pod dowództwem dra Sawickiego jak i p. Zaruskiego nie powróciły na noc z poszukiwań.

O tajemniczem zniknięciu panny Szystowskiej, opowiadają uczestnicy wycieczki, że gdy przybyto do Krzesawicy na prawo od Kościeliskiej Doliny i miano się wrócić ku Czerwonym Wierchom oświadczyła panna Szystowska, że jest bardzo zmęczona i że pozostanie na drodze przez kilka minut dla odpoczynku.

Namawiano ją podobno, aby szła dalej, ale panna Szystowska była bardzo zmęczoną i przyobiecała, że po kilku minutach ruszy dalej. Wobec tego całe towarzystwo udało się w drogę. Gdy po pewnym czasie panny Szystowskiej nie było widać, jeden z uczestników wycieczki wrócił po nią. Lecz panny Szystowskiej nie było już na dawnem miejscu. — Zaczęto jej szukać, nawoływać, wszystko napróżno. Czyniono za nią poszukiwana we wszystkich kierunkach przez dłuższy czas — daremnie.

Tajemnicze zniknięcie panny Szystowskiej wywołało w Krakowie, zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej, wśród której panna S. cieszyła się ogólną sympatyą przygnębiające wrażenie.

Panna Szystowska liczy lat 21, pochodzi ze Żmudzi. W Krakowie uczęszczała na wydział filozoficzny, studyując historyę.

Nowy nieszczęśliwy wypadek.

Zakopane, 11 lipca.

Wczoraj zaszedł nowy wypadek na Boczaniu nad Kuźnicami. Rano udał się na wycieczkę słuch. med. ze Lwowa p. Włodek, w towarzystwie kuzynki. Wracając, upadł i skręcił nogę. Towarzyszka wycieczki była bezradna. Dopiero po pewnym czasie nadszedł góral, który wezwał pogotowie. P. Włodka zniesiono na noszach do restauracyi w Kuźnicach, gdzie pomocy udzielił mu lekarz Pogotowia dr Kraszewski, poczem przewieziono go do willi „Klemensówki“. Stan p. Wodka nie budzi żadnych obaw.

Co słychać w mieście?

Kraków, 11 lipca.

Dom urzędniczy w Krakowie.

Kilka towarzystw urzędniczych w Krakowie ze Związkiem ekonomicznym urzędników, profesorów i nauczycieli na czele powzięło myśl zawiązania spółki, celem wybudowania Związkowego domu urzędniczego, w któ-

Cennik IZBY handlowo-przem. w Krakowie

w dniu wyjścia niniejszego Nru o g. 12 w poł.

Waluty

Ruble papierowe
płacą 253·25
żądają 254·25

Marki niemieckie
płacą 117·—
żądają 118·—

Franki papierowe
płacą 95·—
żądają 96.—

20-to frank. w złocie
płacą 19·—
żądają 19·20

Dolary amerykańskie
płacą 491·—
żądają 496·—

Giełda zbożowa.

Budapeszt.
Dn. 10 lipca.
Targ zbożowy.

Pszenica na październik 11·41 do 11·42; pszenica na kwiecień 11·78 do 11·79; żyto na paździer. od 9·39 do 9·40; owies na paźdz. 9·31 do 9·32; kukurudza na lipiec 8·82 do 8·83; kukurudza na sierpień od 8·85 do 8·86; na maj 7·54 do 7·55; rzepak na sierp. 17·25 do 17·35. Oferty: mierne. Chęć kupna: mierna. Usposobienie: silne. — Pogoda gorąco.

rym mieściłyby się lokale klubowe, sala na walne zgromadzenia, odczyty i zabawy, oraz sklepy spółki spożywczej, krawieckiej i t. d. Wydział Związku ekonomicznego wysłuchał wczoraj sprawozdania prezesa dra Zawadzkiego z dotychczasowych wyników akcyi około budowy domu i uchwalił zarys programu tej budowy, która powinna wejść w krótkim czasie w stadyum wykonania.

Z operetki lwowskiej.

Paryżanin z Łyczakowa.

Wszystko ma swoje granice, każde cierpliwość się wyczerpie. Z okazyi przedstawienia pikantnej farsy muzycznej „Cnotliwa Zuzanna“, która od kilku dni wypełnia szczelnie co wieczór widownię teatru miejskiego, należy raz kilka słówek prawdy poświęcić panu Solnickiemu — z życzliwości dla niego i dla operetki lwowskiej. Pan Solnicki posiada duży talent sui generis, niepożyty temperament, którego mu zazdrościć można, jest doskonałym baletnikiem i gimnastykiem, odznacza się wielką gorliwością w pełnieniu swych obowiązków, wnosi na scenę wiele życia — ale niestety *genre* jego talentu oraz kultura artystyczna mają zawsze styl groteskowo-clownowski z łyczakowskiem zacięciem. Nie umie on nigdy obyć się bez najgrubszej szarży, lubuje się stale w efektach tak wytwornych jak np. kichanie damom w twarz albo na biust, obliczonych na gust publiczności z najwyższej galeryi. Przy tych swoich właściwościach p. Solnicki bywa nieraz podporą i okrasą operetki w rolach takich jak pacobuta we „Wrogu kobiet“, a ilekroć przychodzi mu odtwarzać role salonowe nie mogąc pozbyć się swoich cyrkowych manier, razi w najwyższym stopniu...

Pan Solnicki nietylko jako aktor o wybitnej indywidualności, ale przedewszystkiem jako reżyser (był nim do niedawna) jest wprost *niebezpiecznym* dla operetki: narzucając bowiem całemu zespołowi swoją manierę, sprawia, że operetka — łyczakowieje.

Najdrastyczniej okazało się to na przedstawieniu „Cnotliwej Zuzanny“. Zupełnie bez przesady można powiedzieć, że p. Solnicki ucyrkowił i sklownił (*passez moi ces mots!*) tę operetkę, która wymaga wytworności, lekkości i szyku. Bo co innego młody nieśmiały, niezgrabny, ale w każdym razie dobrze wychowany Paryżanin a co innego elegant z Łyczakowa, spieszący na zabawę „za drągiem“. Elegancya i maniery p. Solnickiego są zresztą w zupełnej harmonii z jego kostyumami, które przypominają bardzo amerykańskich ekscentryków w teatrach Rozmaitości.— Wprost też pojąć nie można, że dyrekcya i — publiczność toleruje improwizacye i dodatki (po lwowsku: *witze*), jakiemi p. Solnicki stale okrasza i przedłuża libretta wszelkich operetek. W niemieckich ordynarnych i głupich operetkach mniej to razi — ale we francuskich jest to nie do zniesienia. Być może, że Lwów przyzwyczaił się już do tego tonu i stylu p. Solnicki go, ale krakowska publiczność nie zasmakuje nigdy w tych delicyach.

Te uwagi nie są dyktowane wcale jakąś animozyą, ale wypływają ze szczerej sympatyi dla sceny operetkowej. Niechże dyrekcya lwowska zrozumie, że p. Solnickiego używać można tylko w rolach, z któremi właściwości jego talentu nie kolidują, ale niech nie powierza mu ról paryskich bonvivantów!

ls.

Echa zamachu na prof. dra Janika w Bronowicach.

W niedzielę 9 czerwca br. zaalarmowaną została opinia wiadomością o niesłychanie śmiałym napadzie, dokonanym w Bronowicach przez rzezimieszka przydrożnego na p. dra W. Janika, profesora gimn. św. Anny, powracającego owego wieczoru wraz z swą rodziną wozem z jakiejś wycieczki. W chwili, gdy wóz znajdował się koło prochowni bronowickiej — brzmiały ówczesne relacye — wyskoczył z rowu przydrożnego jakiś mężczyzna i usiłował wskoczyć na wóz. Gdy dr Janik chciał go zepchnąć z wozu, opryszek — wedle ówczesnej wersyi — wyjął browning i strzelił do profesora. Kula utkwiła w okolicy brzucha między 8 a 9 żebrem. Rana prof. Janika okazała się ciężką mimo, iż nie zagrażała jego życiu. Prof. Janik przeleżał 3 tygodnie w szpitalu, skąd wyszedł zupełnie wyleczony.

Przesłuchiwany przez władze śledcze prof. Janik opisał szczegółowo przebieg napadu i podał dokładny rysopis sprawcy. Na podstawie tych danych w parę dni później — o czem również w swoim czasie pisaliśmy — ujęto sprawcę w osobie niejakiego Skoluta, bezdomnego włóczęgi, który został odstawiony do więzienia śledczego pod zarzutem zbrodni usiłowanego morderstwa.

Rozpoczęło się regularne śledztwo pod kierunkiem sędziego śledczego p. A. Błachońskiego. Śledztwo było mozolne i natrafiało na trudności, gdyż z jednej strony prof. Janik — kilkakrotnie przez sędziego przesłuchiwany — obstawał przy twierdzeniu, że napastnik do niego strzelił z rewolweru, Skolut zaś stanowczo się wypierał czynu, do którego nie miał najmniejszego powodu. Po za tem stwierdzono, że Skolut wogóle rewolweru nie posiadał, a owego wieczoru, jak przyznał, chciał się razem przejechać do Krakowa, w czem mu prof. Janik przeszkodził, spychając go przemocą z wozu.

Problemat tajemniczego strzału — który pociągnął za sobą widoczną ranę — był wobec tego trudny do rozwiązania. Ostatecznie niewiadomo jak sprawa by się skończyła — prawdopodobnie Skolut powędrowałby na ławę oskarżonych — gdyby nie oględziny znawców. Oto okazało się, że kula wyjęta z rany prof. Janika, **najlepiej pasuje do jego własnego rewolweru.** Gdy przedstawiono p. Janikowi rezultat orzeczenia znawców, prof. Janik przyznał, że broniąc się przed napastnikiem, wyciągnął z kieszeni swój rewolwer, którym zagroził opryszkowi. Manipulował zaś tak nieszczęśliwie własnym rewolwerem, **że padł strzał, który go ugodził w brzuch.** Wstydząc się własnej niezręczności, skomponował bajkę o napadzie rewolwerowym.

Przeciw Skolucie wobec tego zastanowiono już śledztwo o zbrodnie usiłowanego morderstwa. Zatrzymano go jednak w więzieniu, gdyż cięży na nim podejrzenie, iż dokonał jakiegoś rabunku w okolicy Krakowa.

Jak widać z powyższego śledztwa w sprawie słynnego „napadu bronowickiego“ wzięło zgoła nieprzewidziany obrót.

Kolportaż uliczny jest w Austryi właściwie nie dozwolony, ale stał się od lat kilku prawem zwyczajowem. We Lwowie, pod bokiem namiestnika, kolportaż rozwinął się w całej pełni, mniej kwitnie w Krakowie, gdzie brak zręcznych i sprytnych roznosicieli i gdzie ludzie wolą wyżebrać „szóstkę“, niż zapracować uczciwie koronę. Kolportażem w Krakowie zajmują się przeważnie mali chłopcy. Oczywiście można temu kolportażowi niejedno zarzucić — ale ostatecznie lepiej jest, że chłopiec sprzedaje gazety i zarobkiem swoim (nieraz bardzo znacznym!) pomaga rodzicom, niżby miał wałęsać się bezczynnie po ulicy. Od czasu do czasu jednak policya wyłapuje kolporterów i konfiskuje im dzienniki: dlaczego niepodobna zrozumieć.

Wczoraj organa policyjne odebrały kilkunastu kolporterom „Nowin“ gazety — a zaznaczamy, że kolporterzy „Nowin“ rekrutują się z porządnych rodzin wyrobniczych, są przyzwoicie ubrani i przeważnie są już chłopcami starszemi. Postępowanie tych organów policyjnych jest dziwne, ile że do niedawna kolporterzy innego pisma wykonywali bez żadnych przeszkód niejako monopol sprzedaży ulicznej — a nie leży bynajmniej w interesie publiczności, aby pismo, obliczone na nie inteligentnych czytelników i rewolwerowe w stylu i treści, darzono było specyalnemi względami!

Energiczny głos gospodyni. Od jednej z Sz. Czytelniczek otrzymujemy następujący list:

„Cała ludność Krakowa musi przyjmować z oburzeniem co miesiąc prawie podnoszenie przez tutejszych masarzy, bogaczy i kamieniczników cen wędlin, a to w sposób zupełnie nieuzasadniony. O ile się bowiem można poinformować i we wsiach i na targach — ceny nierogacizny wcale nie zostały podwyższone, a masarze krakowscy podnieśli znowu od 1 lipca ceny wędlin o 20 i 16 h. na kilogramie, tak, że funt kiełbasy siekanej krakowskiej, nader lichej, kosztuje już obecnie 1 K 24 h, a sardelki i kiełbaski podwyższono z 11 na 14 h. Jest to oburzające i magistrat jako władza przemysłowa nie powinna przecież tolerować takiej samowoli masarzy krakowskich, bo obecnie Kraków jest jednem z najdroższych miast nietylko w Galicyi ale w całej Austryi“.

Wypadek na dworcu kolejowym. Wczoraj popoł. podczas przesuwania wozów na torze, obok ogrzewalni, znajdującej się przy ul. Bosackiej, dostał się robotnik kolejowy Wincenty Stala między bufory wagonów i doznał ciężkich uszkodzeń. Pogotowie ciężko rannego Stalę odwiozło do szpitala św. Łazarza w groźnym stanie.

Aresztowanie włamywacza. Policya aresztowała wczoraj 24-letniego Jana Szywałę, który opuścił niedawno więzienie w Wiśniczu, gdzie odsiadywał karę 3-letniego więzienia za nałogową kradzież. Szywała zawitał przed kilku dniami do Krakowa, gdzie popełnił już kilka kradzieży z włamaniem. — Wczoraj po południu usiłował włamać się wraz z nieznanym wspólnikiem do mieszkania naporucznika Pinkasa przy ulicy Zacisze l. 16. Przy tej „robocie“ zastał go nadporucznik. Szywałę zdołano ująć. Był on ubrany nadzwyczaj elegancko, miał przy sobie 120 koron w gotówce. Spólnik jego umknął.

Z Teatru „Nowości“. Zupełna zmiana programu ściąga niezliczone tłumy do teatru. Program to jeden z najlepszych. Na pierwszy plan wybija się zagadka Moto-Phoso, który jest tematem rozmów, trupa węgierskich cyganów, złożona aż z 5 kobiet, nadzwyczajny skoczek Joc Bary, który szalonymi skokami wzbudza zachwyt u publiczności. Szczególna wzmianka należy się ekscentrykom angielskim, którzy są pierwszą atrakcyą obecnego wieczoru.

Teatry i widowiska

REPERTUAR

Opera. i operetka.

Czwartek: „Aida“
Piątek: „Cnotliwa Zuzanna“
Sobota: „Cnotliwa Zuzanna“
Niedziela: popołudniu „Krysia leśniczanka“ wieczór „Aida“
Poniedziałek: „Cnotliwa Zuzanna“
Wtorek: „Mignon“.
Środa: „Cnotliwa Zuzanna“.
Czwartek: „Carmen“
Piątek: „Cnotliwa Zuzanna“
Sobota: „Cavalleria rusticana“

Teatr na wystawie architektonicz.

Czwartek: „Kozioł ofiarny“.

Teatr w parku krak.

Czwartek: „Figle wiosenne“.

Teatr Nowości.

Przedstawienie o godz. 8 wiecz.

Edison.

Przedstawienie o godz. 8 wiecz.

Telegramy i telefonematy własne „Nowin".

Zaszczytne odznaczenie delegata krakowskiego.

(*Telefonem od naszego korespondenta*).

Wiedeń. Dowiaduję się, że delegat krakowski Dr Adam Fedorowicz otrzymał zaszczytne odznaczenie. Oto cesarz nadał mu tytuł i charakter wiceprezydenta namiestnictwa. Jestto ranga IV-ta, podczas gdy dotychczas p. Fedorowicz był w randze V-tej radcy dworu.

Po odrzuceniu nadmiernych żądań militarnych.

Budapeszt. (Tel. wł.). Dzienniki tutejsze twierdzą, że odrzucone żądanie ministra wojny ćwierci miliarda kor. na cele wojskowe, wstawione będzie do budżetu wspólnego na r. 1914.

Stan rokowań niemiecko-czeskich.

Praga. (Tel. wł.) W rokowaniach ugodowych niemiecko-czeskich wyłoniła się w ostatniej dobie znamienna różnica poglądów odnośnie do języka urzędowego w miastach Pradze i Budziejowicach. Mianowicie w Pradze urzędowanie ma się odbywać w języku czesko-niemieckim, a w Budziejowicach, gdzie dotychczas Rada miejska jest przeważnie niemiecką, w języku niemiecko-czeskim. Dojście do skutku sesyi lipcowej sejmu czeskiego zależy wyłącznie od pomyślnego załatwienia powyższej kwestyi.

Powołanie dziennikarza do Izby magnatów.

Budapeszt. (Tel. wł.). Długoletni tutejszy korespondent „N. Fr. Presse" p. Zygmunt Singer, który w ostatnich czasach przyjął poddaństwo węgierskie, został powołany do węgierskiej Izby magnatów. — Jestto niezwykłe odznaczenie. W Austryi ani jeden czynny dziennikarz nie znajduje się w Izbie panów.

Zbrodnicze plany angielskich sufrażystek.

Zamierzony zamach na Asquitha. Premier niepewny życia. — Sufrażystki chcą porwać synka Asquitha.

Londyn. (Tel. wł.). Prezydent ministrów angielskich lord Asquith **nie jest obecnie pewny swego życia**. Policya tutejsza dowiedziała się, że wojujące sufrażystki nie chcą już poprzestać na czynnem znieważaniu Asquitha, **lecz że postanowiły dokonać zamachu na jego życie**. Policya ma dowody w ręku, **że zamach taki był planowany na dzień 1 lipca**, w którym to dniu miał się odbyć bankiet w klubie narodowo-liberalnym na cześć Asquitha. **Zamach miał być dokonany podczas bankietu**. Naturalnie bankiet z tego powodu został odwołany.

Policya zebrała także dowody, że rozwydrzone sufrażystki zamierzają dokonać zamachu na małego synka Asquitha, Antoniego. Mianowicie **zamierzają one porwać małego Antoniego podczas spaceru** w publicznych ogrodach londyńskich. Mały Antoś jest prześlicznym chłopcem i zwraca ogólną uwagę swą urodą. Obecnie podczas spacerów synka Asquitha pilnuje go 2 olbrzymich policmenów londyńskich, którzy go pilnują jak oka w głowie i ani przez chwilę nie spuszczają z niego wzroku.

Echa „tygodnia awiatycznego" w Wiedniu.

Wiedeń. (Tel. wł.) Czysty zysk tutejszego „tygodnia awiatycznego" wynosi 150 tysięcy kor. Jestto rezultat nader korzystny, zwłaszcza skoro się zważy, że dotychczasowe tego rodzaju imprezy w innych miastach kończyły się stale deficytem.

Okrucieństwa tureckie wobec ludności greckiej.

Ateny. (Tel. wł.). Ludność grecka wysp Chios i Lesbos, niezajętych dotychczas przez Włochów, wystosowała memoryał do mocarstw, w którym się żali **na niesłychane okrucieństwa**, jakich się tureckie władze cywilne i wojskowe na tych wyspach **dopuszczają na tamtejszej ludności greckiej**. — Władze te poprostu **znęcają się nad bezbronną** ludnością grecką, która tłumnie z tych wysp ucieka.

Dalsze sukcesy powstańców albańskich.

Ultimatum zbuntowanych oficerów.

Wiedeń. (Tel. wł.) „Neue Freie Presse" donosi z Konstantynopola, że powstańcy albańscy napadli na transport wojsk rządowych i zdobyli 8 dział i 10.000 ładunków. Bandy albańskie wespół ze zbuntowanymi oficerami podejmą w najbliższych dniach ponownie kroki przeciw wojskom rządowym. Dowódca zbuntowanych oficerów wyśle w tych dniach *ultimatum* do rządu tureckiego w sprawie postulatów przez zbuntowanych podniesionych.

Z praktyk carskich sądów wojennych!

Warszawa. (*Tel. wł.*) Wczoraj warszawski sąd wojenny rozpatrywał sprawę Kasola Mamińskiego i Jana Trzeski, skazanych w roku 1907 na karę śmierci za rzekomy udział w zamachu na strażników. Dzięki usilnym staraniom Skałon wyrok śmierci zmienił na bezterminową katorgę. Po pięciu latach odbycia przez skazanych kary, wyszło na jaw szereg okoliczności, wskazujących na brak dowodów winy ze strony Mamińskiego i Trzeski. Wyznaczono rewizyę procesu, na której poestawie wczoraj warszawski sąd wojenny wydał wyrok uniewinniający obydwóch skazanych.

Przed wyborami do IV Dumy.

Petersburg. (*Tel. wł.*) Członek Rady państwa Kramer w wywiadzie, ogłoszonym w „Pet. Zeitung", oświadczył, że skład przyszłej Rady państwa będzie bardziej reakcyjny niż obecny.

Petersburg. (*Tel. wł.*) W tutejszych kołach dobrze poinformowanych utrzymują, że październikowscy zawarli blok z nacyonalistami. Rząd zaś podczas wyborów będzie popierał czynnie zblokowane partye.

Petersburg. (*Tel. wł.*) W tych dniach ukaże się deklaracya Synodu w sprawie udziału duchowieństwa prawosławnego w wyborach do czwartej Dumy.

Żydzi w Rosyi.

Petersburg. Minister spraw wewnętrznych polecił gubernatorom dokonać rewizyi list wyborczych do IV. Dumy i usunąć z nich żydów, korzystających z prawa zamieszkania poza granicami osiedlenia.

Z ostatniej chwili.

Strejk kucharzy restauracyjnych

Dzisiaj w nocy odbyło się zgromadzenie kucharzy restauracyjnych, zwołane przez tut. organizacyę socyalistyczną, na którem uchwalono wstrzymać się od pracy aż do czasu, póki właściciele restauracyj nie zgodzą się na postawione im przez zorganizowanych kucharzy postulaty, w których domagają się podwyższenia płacy miesięcznej do 100 kor. wraz z całem utrzymaniem, urlopu 14-tu dni co roku, prócz tego dla starszych kucharzy tyle dni ponad 14 dni ile miesięcy dany kucharz zatrudniony jest w jednej firmie, wreszcie za każdą godzinę pracy po g. 12-tej w nocy 1 kor. dodatku.

Przeciwko strejkowi oświadczyli się kucharze zorganizowani w katolickiem stowarzyszeniu „Jedność".

Dzisiaj rano we wszystkich prawie restauracyach i hotelach wstrzymali się kucharze od pracy, tych którzy się zgłosili, między innemi kucharze restauracyi „Grand hotelu", zmusili strejkujący groźbami do zaniechania pracy. W kuchniach restauracyjnych pracują dzisiaj sami właściciele przy pomocy kucharek i pomocników.

Pobity fijakier. Na stacyę pogotowia ratunkowego zgłosił się dzisiaj rano Gustaw Piątek, dorożkarz, którego na rogu ul. Topolowej i Aryańskiej pobili przedstawiciele „Smoka", zadając mu kilka ran na głowie. Piątka opatrzono.

Znaczna kradzież z włamaniem. P. Stanisława Sokołowska, zamieszkała przy ul. Krupniczej l. 14, wróciwszy onegdaj do Krakowa po kilkudniowej nieobecności, znalazła w swem mieszkaniu trudny do opisania nieład i wkrótce przekonała się, że w mieszkaniu jej byli rabusie, którzy ogołocili wszystkie pokoje i szafy z garderoby, pościeli, ubrań i kosztowności wyrządzając właścicielce szkodę na 8.000 koron.

Wczoraj rano znalazła pani S. w skrzynce na listy 4 kartki zastawnicze na skradzione biżuterye, w rzucone tam przez złodziei. Opiewały one na łączną kwotę 367 koron. Policya jest już podobno na tropie sprawców tego śmiałego włamania.

Niebezpieczne ptaszki. Stanisław Wróbel aresztowany onegdaj za kradzież z włamaniem do pracowni krawieckiej Związku ekon. urzęd. włamał się poprzednio, jak policya stwierdziła do trafiki Szymona Grunpanna, mieszczącej się w kiosku obok hotelu „Royal", gdzie skradł wyroby tytoniowe i stemple wartości 1100 kor. Kradzieży tej dokonał wespół z niejakim Aronem Rappaportem, który zdołał umknąć. Oni również są sprawcami włamań do trafiki Jachnowitza, przy ul. Dietlowskiej i do budki z wodą sodową na plantach obok gimnazyum św. Anny. Skradzione stemple wymieniali na pieniądze w Tarnowie i pomniejszych miastach galicyjskich.

Z kroniki żałobnej.

Władysław Ancuta, uczestnik powstania z 1863 r., zmarł 4 bm. w 74 r. życia w Czernichowie.

Julia z Zelichów Naglowa, wdowa po kupcu, zmarła 10 bm. w 70 r. życia w Krakowie.

Pogoda w Krakowie.

(Z krakow. obserw.)

Dnia 9-go lipca termometer doszedł od 14·4 do 24·1 C. barometr podnosił się.

Dnia 10-go lipca o godz. 7-oj zrana stan barometru: 745·4 mm. stan termometru: 16·4 C.

Wiatr zach.-poł.-zach.

Prognoza: Dość pochmurno.

Zakopane

(Telegram Kraj. Związku Turyst.)

Ciepłota najwyższa 20·4 C., najniższa 7·5 C. Ciśnienie powietrza 692 mm Kierunek wiatru wschodni.

Prognoza: zmienne

CZARODZIEJ

Wielki romans dramatyczny.

przez MICHAŁA ZEVACO.

298 (Ciąg dalszy).

Królewicza-Rębacza zaprowadzono do Chateletu.

Przez całą drogę Roncherolles szedł obok niego i trzymając silnie za ramię, obrzucał wściekłem spojrzeniem. Królewicz był jakby nieprzytomny. Powikłane myśli jak błyskawice przebiegały przez biedną jego głowę lub staczały w niej jakąś bezładną walkę. Ponad wszystkie górowała myśl jedna:

— Aresztowano mię, bom zabił króla! Więc muszę umrzeć i rozstać się na zawsze z Florysą. Gdybym zabił tu tego człowieka, możebym zdołał uciec i ocalić się. Tak, ale zabijając ojca Florysy, oddzieliłbym się od niej większą i głębszą jeszcze przepaścią niż śmierć sama. Och, gdyby tu nie było Roncherolles'a!

To pewne, że łucznicy nigdyby go nie zdołali doprowadzić do Chateletu.

Na rozkaz Roncherolles'a wprowadzono Rębacza do Raju, t. j. tam, gdzie przed niedawnym czasem wielki prefekt sam tyle przecierpiał, wzywając daremnie Florysy. Niechże ten, którego nienawidził na równi z Nostradamusem, cierpi tak samo, wzywając Floryssę. I rozkoszował się obmyślanemi torturami.

Trzeciego dnia do ciemnicy Królewicza-Rębacza weszło dwu czarno ubranych urzędników królewskich w otoczeniu kilkunastu zbrojnych żołnierzy. Byli to: komisarz królewski i pisarz trybunału. Pierwszy obrzucił więźnia badawczym wzrokiem i widząc zapewne, że jest zupełnie spokojnym, oddalił żołnierzy. Następnie nie bez pewnej obawy, głosem lekko drżącym i cichym zapytał:

— Jesteś oskarżony o zbrodnię obrazy majestatu, co masz do powiedzenia?

Po twarzy Rębacza przemknął cień niewypowiedzianego smutku i goryczy.

— Tak jest — odpowiedział — przyznaję się! Lecz gdy będzie wiadomem, dlaczego na placu turniejowym twierdzy św. Antoniego...

— Ciszej! Ciszej — uspokajał komisarz

— Dlaczego ugodziłem lancą króla Henryka..

— Szaleniec! — rzekł komisarz, zwracając się do pisarza.

Pisarz trybunalski pokiwał znacząco głową, i uczyniwszy giest ubolewania nad takiem szaleństwem, powrócił do dawnej urzędowej miny, umoczył pióro w kałamarzu rogowym który stało nosił przy pasie i dalej kreślił zeznania skazańca.

— Mój przyjacielu, cóż znowu! Któż ci to mówił?

— Jakto, więc nie jestem oskarżony o królobójstwo?

A w głębi duszy dodał: ojcobójca. Zimny dreszcz przebiegł po całej jego postaci.

— Królobójstwo? Czyż głowę już straciłeś? Toż to przecie kapitan Montgomery uderzył tak niezręcznie i nieszczęśliwie swą lancą jego wysokość w owym przeklętym turnieju. Zrozpaczony kapitan umknął z Paryża.

Królewicz słuchał w najwyższym zdziwieniu. Nic nie rozumiał. Bo i jakże mógł pojąć zawikłane tajemnice stanu? I że królowa Katarzyna nie chciała dopuścić do podejrzenia nawet o zamach na życie króla. Postanowiła za jaką bądź cenę odwrócić myśl taką i zmusić Paryż do uwierzenia w prosty wypadek.

— Do dyabła — mówił dalej cichem głosem komisarz. — Łatwo ci tak mówić! Ale przecie, gdybyś był oskarżony o królobójstwo, toby ci zaraz ucięto prawą rękę i wyrwano język, a potem by cię skazano na roźćwiartowanie końmi...

— To tylko prosta obraza majestatu. I wierzaj mi, że i tego dosyć. Bo powinieneś być skazany za to na powieszenie!... Zamiast tego kat utnie ci siekierą głowę jak godnemu szlachcicowi! Myślę, że będziesz wdzięczny za tę wielką łaskę jej wysokości królowej Katarzynie!...

(C. d. n.)

Wydawca: Krakowskie Tow. wydawnicze. Odpowiedzialny i naczelny redaktor: Ludwik Szczepański. Drukiem Aleksandra Rippera w Krakowie.



Odpowiedź na sprawozdanie

z 5-go Walnego Zgromadzenia „Związku ekonomicznego“, zamieszczone w ostatnim numerze „Głosu urzędniczego“, oraz przedstawienie działalności „Związku“ w świetle prawdy.

Już piąty rok istnieje organizacya urzędnicza pod nazwą „Związek ekonomiczny urzędników, profesorów i nauczycieli w Krakowie“ a cztery lata dobiegają od czasu, jak zaczął wychodzić w Krakowie, wprawdzie nie regularnie, lecz przynajmniej raz w miesiącu organ tego Związku „Głos urzędniczy“.

Nad redagowaniem tego organu czuwać ma wprawdzie tak zw. komitet redakcyjny, złożony z kilku członków wydziału Związku oprócz prezydyum, lecz faktycznie „Głos urzędniczy“ redagował samowolnie i zwykle bez porozumiewania się z komitetem redakcyjnym właściwy założyciel tego organu i główny jego redaktor, jeden z radców Magistratu.

Już sam fakt, że na odpowiedzialnego redaktora wybrał pan założyciel nie urzędnika, lecz drukarza p. Feliksa Świątkowskiego, — człowieka zresztą uczciwego, ale z redakcyą „Głosu urzędniczego“ po za tem nic wspólnego nie mającego, — kazał się domyślać nieszczerych zamiarów p. radcy-redaktora, bo przecież p. radca-redaktor i każdy urzędnik wie o tem, że pismo treści ekonomicznej, wolno podpisywać i odpowiedzialnie redagować tak dobrze urzędnikowi autonomicznemu, jak i państwowemu.

Mimo to wszystko zdawaćby się mogło, że „Głos urzędniczy“ będzie wyrazem opinii *całego* urzędnictwa i nauczycielstwa w Krakowie.

Tymczasem tak nie jest, bo zamiast podawać praktyczne wskazówki, jak należałoby się zabrać do pracy *realnej* w celu zdobycia dla członków Związku *znośniejszej egzystencyi*, p. radca-redaktor posługując się w każdym numerze oklepanymi, pustymi frazesami, co to za niezliczone dobrodziejstwa stworzył zarząd Związku dla swych członków, stara się *pod maską ekonomicznego działania* tendencyjnie, — lecz na szczęście całkiem niedołężnie — przerabiać Związek na **organizacyę polityczną**, a wreszcie wtłoczyć Związek ze swym kolegą magistrackim, obecnym prezesem Związku w pewną organizacyę polityczną w mieście, wprost z gruntu dla **urzędnictwa i nauczycielstwa niepożądaną.**

Że tak jest, a nie inaczej, wykażę poniżej. Na wstępie jednak uważam za wskazane omówić działalność organu tegoż Związku, — zwłaszcza z powodu jego zbyt osobistych wycieczek, — co dzisiejszą wartość Związku ekonomicznego ilustruje, a może mieć nietylko dla członków Związku, ale i dla opinii obywatelskiej w mieście zasadnicze znaczenie.

* * *

Pominąwszy naczelny artykuł ostatniego numeru „Głosu Urzędniczego“, w którym sposobem niesłychanie banalnym, a obliczonym na *łatwowierność* ziała od tej roboty stojącego ogółu urzędnictwa, wypisaną jest cała litania illuzorycznych dobrodziejstw, jakie miał poczynić Zarząd Związku ekonomicznego dla swych członków, przejdę do następnego artykułu, tj. sprawozdania z 5. Walnego Zgromadzenia Związku ekonomicznego urzędników, profesorów i nauczycieli w Krakowie, którego autorem jest p. radca Magistratu, redaktor.

Autor, opisawszy *niezgodnie z prawdą* przebieg tegoż Zgromadzenia, zakończył sprawozdanie wzmianką o mnie, przyczem w sposób, *jemu tylko właściwy*, podaje rzekomą przyczynę, dlaczego nie wybrano mię w bieżącym roku do Wydziału Związku.

Mianowicie p. autor podał (co również nielojalnie przewodniczący Walnego Zgromadzenia potwierdził), iż nową listę Wydziału skonstruowano *na podstawie porozumienia się* z poszczególnemi zawodowemi organizacyami urzędniczemi. Tymczasem po wydrukowaniu tegoż niezgodnego z prawdą sprawozdania — prezes grupy krakowskiej organizacyi urzędników pocztowych, a zarazem członek Wydziału Związku ekonomicznego, p. Haluch, kategorycznie stwierdził, iż listę Wydziału — przynajmniej co do urzędników poczty — skonstruowano **bez porozumienia się** z jej zawodowemi organizacyami. W tym celu też *zażądał odnośnego sprostowania* w „Głosie Urzędniczym“ — co prezydyum Związku uczynić się zobowiązało.

Tem więc przedstawieniem rzeczy — **skompromitował** autor **Wydział Związku**, a nadto przedstawił w *fałszywem świetle organizacye zawodowe urzędników poczty*, powołując się na niebyłe nieporozumienie w łonie urzędników poczty.

Nie przeszkadzało to jednak p. radcy-sprawozdawcy, że w sposób, niepozbawiony pewnych pozorów życzliwości dla mnie, wychwala w owem sprawozdaniu moje zasługi około założenia Związku i podnosi (używam jego słów): „mój wybitny zmysł społeczny“.

Faktycznie jednak, obłudnie i celowo stara się wytworzyć o mnie *fałszywą opinię* u czytelników „Głosu Urzędniczego“, ubolewając nademną dobrotliwie, »*że dostałem się przypadkiem na obcy sobie teren polityczny i w bezpłodne społeczno-ekonomiczne działanie*« — że, według jego trywialnej symboliki, »*znalazłem się od dłuższego czasu w położeniu szczupaka, wyrzuconego na piasek*« *itd.*

Ponieważ p. radca-redaktor zarzuty te czyni mi publicznie, przeto i ja poczuwam się do obowiązku dania mu publicznie odpowiedzi.

Zapytuję więc szanownego autora, o jakim to obcym dla mnie terenie politycznym myśli i w jakie to „bezpłodne ekonomiczne działanie“ przypadkiem się dostałem?

Wszak szanowny autor, jako człowiek z pewną erudycyą, nie może odmawiać mi prawa do myślenia i obserwowania życia społecznego, a jeśli przez ów obcy dla mnie teren polityczny rozumie przynależność moją do Polskiego stronnictwa demokratycznego, to mu przypominam, że on był autorem i *redaktorem owej specyalnej deklaracyi* wystosowanej do prezydyum Tow. demokratycznego w Krakowie, na podstawie której to deklaracyi, *jako organizator Związku ekonomicznego* — za tegoż redaktora namową — w r. 1908 moją kandydaturę na członka Rady miejskiej krakowskiej zgłosiłem.

Nie był to zresztą dla mnie obcy teren polityczny, gdyż program polskiego stronnictwa demokratycznego jeszcze przedtem znałem, a wreszcie odpowiadał on w zupełności moim przekonaniom, co mię wcale nie zawstydza. Ale nie myślę wcale tą drogą stawać w obronie owego programu, tylko przyznam się, że imponują mi w nim szlachetne myśli i zasady, na jakich się opiera, bo pracowali nad jego wykonaniem ludzie tacy, jak ś. p. Smolka, Romanowicz i i., którzy za najwyższy cel swej działalności uważali to, co powinno być najświętszem każdemu Polakowi, t. j. *odrodzenie narodu*, a za jedyny środek, prowadzący do tego celu uznali obowiązek pracy *każdej jednostki* w społeczeństwie polskiem, a nie *przywilej* ani *lokajstwo*.

Ja — mając ustalone przekonania *nie handluję* programami politycznymi, naiwnym byłby zaś każdy, ktoby mię posądzał o jakieś osobiste cele, tkwiące w mej przynależności partyjnej, gdyż każdy rozsądny a nieuprzedzony do mnie zrozumie, że jako urzędnik niższej rangi na polityce nie zrobię karyery.

Terenu pracy w *Radzie miejskiej* nie uważam za ściśle polityczny. — Znam ten teren bardzo dobrze. Wiem, że w Radzie wiele rzeczy nie dzieje się po myśli szerszego obywatelstwa. — Przeciwdziałam temu wedle moich sił. — Jako mieszkaniec przeszło 30-letni miasta — dosyć miałem czasu poznać jego potrzeby. — Czy zaś moje działanie w Radzie było bezpłodnem czy nie, odsyłam pana radcę magistratu do protokołów z posiedzeń sekcyi i komisyi, których jestem członkiem.

Dokonałem nadto w Radzie prac o wielkiem, ogólno-społecznem znaczeniu i te specyalnie podnoszę. A mianowicie:

1) W r. 1910 na komisyi gruntowej — postawiłem wniosek o utworzenie fundu-

szu mieszkaniowego na popieranie akcyi *budowy tanich domów* i rozszerzenia Krakowa:

2) Przed 3 laty a mianowicie w r. 1909 postawiłem w Radzie miasta wniosek o założenie *cegielni miejskiej*.

Wniosek pierwszy *zrealizowała* komisya mieszkaniowa na podstawie uchwały Rady miasta — z dnia 16 marca 1911.

Wniosek drugi Rada miejska również uchwaliła.

Obydwie uchwały zapadły wcześniej, niż weszło do Rady miejskiej przy ostatnich wyborach z tej tak bardzo — zdaniem autora — trudnej akcyi wyborczej Związku owych 6 kandydatów, których fałszywie nazywa związkowymi radnymi.

Dlaczego wniosek drugi (cegielnia) nie został przez magistrat wykonany — radca-redaktor jako prezydyalista powinien o tem wiedzieć, tak samo — jak wiedzieć powinien, że to ja właśnie wniosek ten postawiłem. I z pewnością wie — a mimo to ignoruje moje zabiegi w tej sprawie — i przypisuje je wyłącznie zarządowi Związku ekonomicznego. Drapowanie się w te zasługi jest tembardziej niemoralne, że kiedy budowa cegielni gminnej zaczęła ulegać zwłoce a ja chciałem zaurgować tą kwestyę w „Głosie urzędniczym" — radca-redaktor artykuł mój *odrzucił*, uważając go za... radykalny.

Już wówczas przejrzałem i zobaczyłem, jakich mam towarzyszów broni.

Jeżeli chodzi o sprawy czysto urzędnicze, to mojem staraniem i moją pracą doprowadziłem do tego, że Rada miejska, która nigdy przedtem nie zajmowała się ogółem urzędnictwa, jako mieszkańcami Krakowa, zaczęła uwzględniać *postulaty urzędnicze*.

A co do samych urzędników magistratu — to przyznaję panu radcy-redaktorowi, że wszedłem na *„obcy mi teren polityczny"*, ponieważ razem z innymi członkami klubu demokratycznego walczyłem o *rozszerzenie etatu urzędników miejskich*, z których to starań korzyści i pan redaktor pośrednio odniósł. Mimo to nie waha się pan redaktor zwalczać klubu demokratycznego w sposób *niedwuznaczny*, nazywając partyę demokratyczną „obcym terenem politycznym" *dla urzędnika* — i zarzucając jej „bezpłodne społeczne działanie".

Ten zarzut odnosi pan radca w pierwszym rzędzie do mnie.

Jakież więc w przeciwstawieniu do powyższego zarzutu — jest owo *płodne* działanie Związku ekonomicznego od chwili, kiedy ja nie jestem członkiem Wydziału?

Nowością, jaką spłodził Wydział Związku bez mojego współudziału, jest tylko *sklep krawiecki*. Przypomnę panu autorowi, że podobną rzecz ja właśnie już przed trzema laty projektowałem z tą tylko różnicą, że dostawcą ubrań dla członków Związku po cenach niskich miał być znany, rzetelny i znakomicie ukwalifikowany krawiec zawodowy. O tym projekcie wiedział również i szanowny pan redaktor, ale już wówczas zaczęli mię panowie z Wydziału w realnej pracy dla Związku — jako reprezentanta *szerokich* mas urzędniczych — bojkotować, dlatego projekt ten nie doszedł do skutku. Pozatem nie widzę żadnego nowego, społeczno-ekonomicznego płodu Związku.

Niema prawie numeru „Głosu Urzędniczego", aby pan radca-autor nie wyliczał wiecznie tych samych, rzekomych zdobyczy Związku ekonomicznego i nie przypisywał zasług — według swego upodobania — raz temu, drugi raz innemu członkowi zarządu. Zaprzecza pan radca wraz ze swymi adherentami nawet temu faktowi, iż pierwszym inicyatorem i założycielem Związku byłem ja. Nie zasmucam się tem wcale, ale publicznie stwierdzam, że ja byłem jednym z założycieli i że wówczas przy tej pracy p. radcy jeszcze n i e b y ł o. Są nawet dziś członkami Wydziału tacy, którzy na moją organizacyę z niedowierzaniem patrzyli.

Ja inicyator i p. Stefan Zaleski, profesor seminaryum nauczycielskiego, przed którym z mym planem organizacyjnym się zwierzyłem, zabraliśmy się we dwójkę jeszcze w grudniu 1907 r. do organizacyi urzędników, profesorów i nauczycieli w Krakowie, *szczerze na tle ekonomicznem*, wychodząc z tej myśli, że wszelkie podwyżki płac nie poprawią ciężkiej doli ludzi żyjących ze stałej płacy, jeśli ci nie wezmą się do *samoobrony ekonomicznej*. Wspólnie redagowaliśmy odezwy do urzędnictwa i nauczycielstwa, ja w ł a s n y m kosztem wysyłałem je do urzędników różnych dykasteryi, profesorów i nauczycieli, nawet nieznanych mi często osobiście, tylko z nazwiska — organizowanie trwało kilka miesięcy a w tym czasie odbyło się w lokalach „Ogniska nauczycielskiego" kilkanaście poufnych zebrań. I kiedy już rzecz była całkiem przygotowaną — przyszedł p. radca-redaktor ze swoimi kolegami magistrackimi a za nim przyszli wyżsi urzędnicy wprost z zamiarem objęcia g o t o w y c h godności i zaszczytów.

Usługi pana radcy-redaktora brałem za dobrą monetę, gdyż przydatną mi była jego bombastyczna wymowa na zgromadzeniach, a to urzędnicy lubią i chętnie słuchają.

Ale p. Zaleski mając więcej doświadczenia życiowego odemnie, *zraził się* z miejsca tym akcesem polujących na godności i politykę do nas, tak, że kiedy przyszło w dniu 14 marca 1908 roku do pierwszego ukonstytuowania się Zarządu Związku, p. Zaleski, desygnowany przez komitet organizacyjny na reprezentanta nauczycielstwa w Zarządzie, zobaczywszy listę proponowanych na członków Zarządu, stanowczo przyjęcia tej godności odmówił i z wielkim żalem wypowiedział się wobec mnie, że cała ta nasza praca ideowa będzie niezadługo wypaczoną i przemieni się na r o b o t ę p o l i t y c z n ą.

I nie zawiódł się.

Ja mimo to nie zrażałem się, chociaż mnie ustąpienie p. Zaleskiego bardzo zasmuciło. Nie pchałem się wcale do żadnej godności, przyjąłem tylko mandat zwykłego wydziałowego i jako taki pracowałem gorliwie. Wystarczy, jeśli wspomnę, że kiedy podówczas nastała pierwsza drożyzna mięsa, jeździłem przy 20° mrozu, przeważnie na własne koszta do okolicznych wsi pod Krakowem i do Bochni w celu wyszukania dla Związku dostawców tańszego mięsa. Podupadły na zdrowiu ryzykowałem w ten sposób nietylko własne życie, ale i przyszły los mej rodziny.

Projektowałem wiele rzeczy dobrych dla Związku, ale dlatego, że projekty wychodziły ze zdrowych pojęć natury socyalno-ekonomicznej, nie były dobre. Dopiero po pewnym czasie te same myśli pojawiały się, jako wnioski innych, ale niestety już w *spaczonej formie* i nie do przeprowadzenia. Nie projektowałem tylko wyjazdów członków Wydziału Związku do Lwowa i Wiednia. Wiedziałem bowiem z góry, że te wyjazdy na nic się nie przydadzą, tylko wydatki spowodują, co się też sprawdziło.

Takich h u c z k ó w było więcej. Mogły one być potrzebne lub podobać się jednostkom, niezawodnie podobały się panu radcy-redaktorowi, lecz mnie zwolennikowi realnej pracy nie podobały się. To też przeciw takim huczkom remonstrowałem a ze mną również niektórzy członkowie Wydziału tak, iż w roku 1910 zagroziło 7 członków w y s t ą p i e n i e m z Wydziału. Fatalna cyfra! Nie udało się nam też przełamać *tego sposobu przysparzania* dla członków Związku *coraz to nowych* korzyści pomimo, że nie chcąc wywoływać na zewnątrz złego wrażenia u członków Związku, nadal we Wydziale pozostaliśmy.

Wyliczaniem od A do Z w jednym artykule, zaś dla odmiany w drugim artykule „Głosu urzędniczego" od Z do A *„coraz to nowych"*, rzekomych korzyści dla Związku, jak sprzedaż ziemniaków, owoców, orzechów, ryb, krawatek i koszul, nikogo o wielkich zdobyczach dla Związku autor-sprawozdawca nie przekona. Wygląda to tak, że się uważa pp. urzędników za *naiwnych*, a takimi przecież nie są, albo że *się urąga z biedy urzędniczej*. Mogą wreszcie wierzyć w te licytowane korzyści niektórzy urzędnicy na prowincyi, którzy na skutek agitacyjnych podróży pana autora, pozakładali na *papierze* filie Związku w Myślenicach, Kętach itd., bo tych korzyści ani z Kęt, ani Myślenic nawet przez lupę nie zobaczą.

Byłbym niesprawiedliwym, — gdybym Związkowi nie przyznał dodatniej pracy realnej w dwóch kierunkach, a do nich zaliczam:

1) Uzyskanie od gminy miasta Krakowa trzech jatek rzeźniczych i sklepu na sprzedaż wędlin — i

2) zawarcie kontraktu węglowego dla dostarczenia członkom Związku węgla po tańszej cenie.

Jednakże i te dwa przykłady pracy realnej już to zaprzepaszczono, już wypaczono.

Walka sfer urzędniczych z drożyzną jest wogóle trudną, a już do bardzo trudnych należy, jak powszechnie wiadomo, walka z drożyzną mięsa. Ale bądź co bądź przyznać trzeba, że jakkolwiek nie wszyscy członkowie Związku z tej akcyi antydrożyźnianej byli zadowoleni, jatki urzędnicze przez dłuższy czas były przeciwwagą i hamulcem podwyższania cen mięsa w Krakowie.

Zaprzepaszczono je jednak, bo nie miał kto z Wydziału Związku dopilnować rzeźników, by wykonali zobowiązania, objęte kontraktem.

Wydział wprawdzie podzielił się na wzór małego parlamentu na kilka sekcyi — na brak godności nie można się było użalać, radzono na wydziale zawsze do późnej nocy ale niestety, dysputy te nie były niczem więcej, jak tylko jałowym *trainingiem retorycznym*.

Kto zaś stawiał racyonalne wnioski, tego zwalczano i nazywano po kątach drwiąco *„politykiem od siekiery"*.

Dość na tem, że *jatki urzędnicze upadły* a podtrzymano tylko sprzedaż węgla, co zasługuje również na bliższe omówienie.

Węgiel jest dziś jedyną ostoją Związku i powszechnem jest zdanie, że gdyby nie sprzedaż węgla, *spłacalna* przez członków *miesięcznemi ratami*, **Związek już dawno przestałby istnieć.**

Lecz jakże wyglądają te agendy węglowe i jakie korzyści z nich mają członkowie?

Za jeden centnar metryczny węgla płaci Związek gwarectwu jaworznickiemu po 1·28 Kor., czyli za jeden centnar cłowy płaci połowę z tego, t. j. 64 hal. Pobiera zaś od kupującego przy każdym centnarze cłowym po 8 hal. więcej, czyli, że na każdym członku Związku, który spala rocznie przeciętnie 100 *q* cłowych, zarabia Związek 8 koron.

Nie byłoby w tej praktyce nic zdrożnego, gdyż na pokrycie kosztów administracyi Związku dosyć znacznych, jak remuneracye urzędników zajętych sprzedażą węgla, druki, światło, opał, obsługę wreszcie na wydawnictwo „Głosu urzędniczego", Związek musi zaleźć dochody. Ale ta okoliczność, *że za resztę czystego zysku*, pozostałego po opędzeniu kosztów administracyi, który do dziś wynosić powinien co najmniej, skromnie licząc 25.000 kor., nie licząc w to opłaconych rocznie tytułem wkładki przez każdego członka 4 koron, ani jednorazowego wpisowego wynoszącego 1 kor. — nie dał i nie daje związek członkom żadnej rekompensaty, wywołuje ogólne szemrania. Rzecz całkiem

zrozumiała, skoro się zważy, że jeśli członkowie płacą więcej za węgiel, niż wynoszą wszystkie wydatki administracyjne, to należą im się za tę nadpłatą *pewne korzyści*, albo też cena węgla winna być *zredukowaną* do kosztów administracyi Związku.

Pierwotnie rekompensatą taką miało być stworzenie funduszu budowy lub zakupna wielkiego — ogólnego *domu urzędniczego* tak dla celów towarzyskich, jak i dla zysku, jakiby przypadł Związkowym z wynajęcia zbytnich ubikacyi sklepowych. Cel dobry i poparcia godny — lecz znów został *wypaczony*, bo oto w bilansie za rok 1911 widnieje na cel budowy domu kwota 2372 K. 87 hal., resztę bowiem zysku **włożył Zarząd w Spółkę spożywczą**, *otwartą dziś dla każdego pierwszego lepszego przechodnia z ulicy*. A zatem przeznaczył zysk węglowy na instytucyę *nie spełniającą dziś swych zadań* — o czem zresztą później jeszcze wspomnę.

Wracając zaś do kupna domu zaznaczyć muszę, iż nowy Wydział i prezydyum zapowiadają kupno już gotowego domu, lecz czy za cenę 2372 kor. można kupić wielki dom, to już odpowiedź na to pytanie zostawiam Szanownym Czytelnikom. Coprawda jeszcze za mej bytności we Wydziale, kiedy to obiecywano oddłużyć urzędników w Krakowie, miał przypłynąć z Francyi za staraniem jednego wielkiego finansisty, członka prezydyum Związku kilkumilionowy kapitał do Związku na bajecznie niski procent, lecz co się w tej sprawie dzieje nie wiem.

Wiem tylko, że urzędnicy zmuszeni są dalej pożyczać i pożyczają w krakowskich bankach, lub biorą tak zw. chwilówki, — gdzie mogą.

Także nie wiem i nie wiedzą inni, czy do Spółki spożywczej, która potrzebuje jeszcze dalszych wkładów i do budowy przystąpią instytucye bankowe w Krakowie. Spodziewać się można, że do kupna domu jakiś bank może przystąpić, ale też i pewnym być można, że nie Związek, tylko *ten bank* będzie właścicielem domu.

* *

Wracam do kwestyi Spółki spożywczej. Zakładanie kooperatyw uważać należy nie tylko za rzecz dobrą, ale za jedyny sposób zwalczania drożyzny środków spożywczych, jeśli ta assocyacya jest na silnej i racyonalnej podstawie opartą. Wszelka kooperatywa jest tem silniejszą, kiedy zasadza się na jak największej liczbie udziałów, choćby nawet i małych. Wtenczas budzi się — całkiem naturalnie — zainteresowanie się u szerszych mas udziałowców, obrót się zwiększa, a ryzyko pojedynczego członka, im jest udział mniejszy, staje się mniejszem lub prawie żadnem.

Tego warunku jednak *brakło* Spółce urzędniczej przy ul. Podwale.

Myśl założenia spółki błąkała się na wydziale od samego założenia Związku. Byli i tacy, którzy tę myśl wciąż ponawiali, ale byli inni, którzy założenie Spółki jeśli nie zwalczali otwarcie, to zupełnie ignorowali. To dowodzi, jak mało podatne jest nasze społeczeństwo dla wszelkiej akcyi assocyacyjnej — tem więcej więc należało poświęcić czasu i pracy na tego rodzaju organizacyę. Tymczasem przez 4 lata przewlekano sprawę i nie starano się pozyskać udziałowców.

Dopiero, gdy z wiosną 1911 r. zbliżał się czas ostatnich wyborów uzupełniających do Rady miejskiej, znów trzeba było puścić huczek i przekonać urzędników, profesorów i nauczycieli o *nowych zdobyczach*. Zdobycz ta ujawniła się w ten sposób, że w celu założenia spółki spożywczej dla 300 osób wydał Związek tytułem pożyczki 12.000 koron z pieniędzy związkowych, a następnie zagwarantował w krakowskiem Towarzystwie zaliczkowem urzędników pożyczkę 6000 koron przez podkład swojej książeczki oszczędności. Na poczet tego długu nic wprawdzie nie upłacił, ale upłacił procent, aby tej przestarzałej formalności zadość czyniąc, mógł *na wabika* wypłacić członkom za zakupione w r. 1911 towary 5 procent rabatu w gotówce lub towarach.

I to nie byłoby wreszcie wielką zdrożnością, bo przy zwiększonym obrocie możnaby i długi spłacić i dywidendę członkom wypłacić. Ale jeśli Rada nadzorcza pozwoliła sobie na *zlekceważenie kardynalnej zasady kooperatywy* t. j. zezwoliła na sprzedaż towarów i *niecztonkom*, to — pytam się — jakież są widoki rozwoju spółki? W jakim celu będzie kto teraz wpłacał udział 20 kor., jeśli wie, że *bez wpłacenia* udziału towar dostanie i w *dodatku na kredyt*.

Założyć sklep taki za gotówkę i sprzedawać takim sposobem towary, podoła każdy przeciętny, nawet niekwalifikowany kupiec.

Nie będę roztaczał dalszej krytyki nad *Spółką*, chociaż mnóstwo uwag tłoczy mi się pod pióro — ale życzę jej rozwoju, choćby z egoistycznych pobudek, bo sam nie chciałbym stracić udziału.

Wreszcie na tem miejscu chciałbym zaapelować do tych niewielu w Radzie nadzorczej, oddanych szczerze idei kooperatywnej, aby pamiętali o *zabezpieczeniu* na majątku spółki w myśl uchwały zapadłej na przedostatniem walnem zgromadzeniu, kapitału wypożyczonego przez Związek ekon. tejże Spółce. Wszak ta pożyczka jest własnością 2000 członków Związku a Spółka istnieje tylko dla 300 członków i dla pierwszego lepszego, kto się nawinie z ulicy.

Dlatego — w tym celu byłoby wskazanem, aby wybrano *innego* prezesa dla Spółki, ze względu na to, że obydwie godności t. j. prezesa Związku i prezesa Spółki piastuje dotychczas jedna i ta sama osoba, a Związek jest *wierzycielem* względem Spółki.

Będzie to i dla redaktora „Głosu urzędniczego“ potrzebnem, bo znajdzie znów sposobność rozpisywania się o nowych zdobyczach związku w postaci nowego prezesa spółki.

Z powyższego, zupełnie przedmiotowego przedstawienia gospodarki Związku ekonomicznego każdy bezstronny spostrzeże i przyjdzie do przekonania, że tej pracy związkowej brakowało często intencyi szczerze ekonomicznej, dlatego też nie mogła ona być obfitą w skutki ekonomiczne w tej mierze, jak to na Zgromadzeniach i w „Głosie urzędniczym“ w *sposób amerykańskiej reklamy* chce się w urzędnictwo wmówić. Doszło w Związku do tego absurdu, że wysyłanie adresów z okazyi obchodów jubileuszowych pracy zawodowej dla niektórych urzędników, omal nie uważa się za zdobycz ekonomiczną dla Związku. Istne Towarzystwo wzajemnej adoracyi!

Najsmutniejszym jednak w tej całej sprawie jest ten objaw, że instytucyę stworzoną czysto dla celów samoobrony urzędniczej, ekonomicznej, *nieszczerzy opiekunowie* chcą na komendę swych bożyszczów i protektorów **pchnąć w odmęt polityczny**. Tendencya ta przerabiania Związku ekonomicznego na środowisko agitacyjno-polityczne w początkach mniej uchwytna, dziś stała się jawną i przybrała pod tym względem formy *najjaskrawszego cynizmu*. Ktokolwiekby w to jednak wątpił, przekona się, że tak jest, gdy przytoczę tutaj nieporuszane dotychczas przezemnie ustępy owego słynnego, wyż powołanego sprawozdania. W ustępach tych sprawozdawca, podając motywy, jakimi się kierował Wydział Związku przy zadecydowaniu kandydata na obecnego prezesa Związku ekonomicznego, wylicza cały szereg warunków, jakie nowy prezes posiadać musi i podnosi, że musi on także **znać się na prowadzeniu polityki Związku**.

To wynurzenie się sprawozdawcy „redaktora“ jest tembardziej godne uwagi, że na owem Walnem zgromadzeniu **nikt z obecnych potrzeby polityki w Związku nie podnosił**. Co więc nie udało się przemycić sprawozdawcy swą wymową na zgromadzeniu ekonomicznem, to pragnie powetować drukiem w „Głosie urzędniczym“ i w ten sposób narzucić potrzebę polityki członkom Związku ekonomicznego, z pomiędzy których pewnie conajmniej większość z obrzydzeniem patrzy na te coraz nowe fermenty partyjno-polityczne, które wytwarzają nie programy polityczne, lecz od wypadku do wypadku różne rachuby i kombinacye jednostek, *zależnie od ich osobistych utylitarnych celów*.

Stąd też pochodzi, iż mimo tak wielkiej liczby członków Związku ekonomicznego, poza zakupnem węgla na raty, w walnych zgromadzeniach Związku prócz pewnej części urzędników Magistratu i pewnej części urzędników Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń z innych dykasteryi, oprócz wydziałowych prawie nikt udziału nie bierze.

Że sprawozdawca miał na myśli *tylko politykę partyjną*, dowodzi tego niezbicie następujący ustęp, w którym tenże sławi pod niebiosy zasługi jednego z dotychczasowych wiceprezesów Związku, a po tem wszystkiem tak pisze o nim:

„Kandydatura p. B... była *formalnie sym-*
„*patyczną* — do rozważenia pozostawała
„**tylko przynależność jego do partyi konser-**
„**watywnej**, co wśród mas urzędniczych,
„przeważnie demokratycznie usposobio-
„nych, uchodzi dotąd za niepopularne.
„Zachodzi obawa, że Walne Zgromadze-
„nie może pójść na oślep za hasłem: „Wy-
„bierajmy **jakiegobądź demokratę, byle nie**
„**konserwatystę** i t. d.“

Nie mam wcale zamiaru stawać w obronie zasług owego p. kandydata, lecz zauważyć należy, iż swawolne elukubracye p. radcy-redaktora pod tym względem nikogo o jego szczerości względem sławionego kandydata nie przekonają. Niezrozumiałem bowiem jest, jak można komuś w pewnej pracy przyznawać *szczerze* przymioty i zasługi, a równocześnie za te zasługi kwalifikować go publicznie *ujemnie* dlatego tylko, że ten jest przynależnym do *partyi konserwatywnej*, lub obawiać się wyboru kogo innego na prezesa Związku ekonomicznego, a nie politycznego, dlatego, że ów jest *jakimbądź demokratą*.

Można być zwolennikiem lub przeciwnikiem tego lub owego kierunku, czy programu politycznego — jest to bowiem rzeczą osobistego przekonania, — ale fakta stwierdzają w codziennem życiu, że nawet przeciwnicy polityczni przyznają sobie wzajemnie pewien szacunek i uznają zalety lub zasługi innych, choćby ci politycznie najbardziej między sobą się różnili. To, co uszłoby jakiemuś agitatorowi na przedwyborczem zgromadzeniu, nie uchodzi pisać w organie publicznym, urzędniczym, o barwie ekonomicznej, człowiekowi poważnemu, za jakiego chce p. radca-redaktor uchodzić. Tak pisać może tylko człowiek, nie szanujący przekonań drugiego, któremu się w swej zarozumiałości zdaje, że czytelnicy są naiwni i że się ich suggestyą i frazesami na lep polityczny weźmie.

Z tych przesłanek widzi się jasno, że p. autor sprawozdania nie chciał mieć na stolcu prezydyalnym Związku ekonomicznego **ani konserwatysty**, **ani jakiegobądź demokraty**, tylko chciał mieć demokratę takiego, jakim jest **wiceprezes nowej organizacyi politycznej demokratyczno-mieszczańskiej** w Krakowie, a dzisiejszy prezes Związku ekonomicznego.

Wolna droga każdemu do każdego stronnictwa politycznego, ale znów nie można się dopatrzeć w tej robocie ani odrobiny logiki. Przez takie bowiem sprawozdanie chciałoby się poprzeć *„nie jakiegobądź demokratę“*, lecz *wiceprezesa nowego stronnictwa demokratyczno - mieszczańskiego*, a w tym samym „Głosie urzędniczym“ zwalcza się tych, których wicepre-

zes stronnictwa popierać powinien, jak kupców, przemysłowców, kamieniczników, rękodzielników i t. d., t. j. te sfery właśnie, które *w tem nowem stronnictwie mieszczańskiem są zorganizowane, albo reprezentowane.*

Powinszować stronnictwu takich organizatorów, a Związkowi ekonomicznemu współpracowników!

Wspaniała, dwulicowa rola!

Proklamowano wreszcie na zgromadzeniu obecnego prezesa Związku, jako jedynie z urzędników najmniej zależnego i dlatego na prezesa najodpowiedniejszego. Czy tak jest istotnie?

Trzeba sobie przedewszystkiem uprzytomnić, że zadaniem Związku ekonomicznego jest w pierwszym rzędzie wytwarzanie znośniejszego bytu w tej miejscowości, tj. w Krakowie, gdzie urzędnicy, profesorzy i nauczyciele zużywają swoje pobory służbowe.

Nikt nie zaprzeczy, że regulatorem tego bytu dla mieszkańców miasta w wielkiej mierze i w pierwszym rzędzie **powinna być gmina, a względnie Rada miejska**, od której można pewne koncesye dla warstw ekonomicznie źle fundowanych uzyskać.

Że instytucye takie, jak Rady miejskie, gdzie się schodzą rozbieżne interesa różnych sfer, zamieszkujących miasto, najwięcej kolizyi służbowej mogą przysporzyć urzędnikowi miejskiemu, gdyby on nawet szczerze chciał poprawy doli urzędniczej, zrozumiałem jest dla każdego i rozumią to inni urzędnicy miejscy, tylko p. radca redaktor jest innego zdania. Z tego powodu uważać należy **wybór urzędnika miejskiego na prezesa Związku ekonomicznego za najfatalniejszy,** o ile dziś jest jeszcze ktoś w Krakowie, **ktoby na seryo myślał o ekonomicznej przyszłości** Związku. Nie można wreszcie zaprzeczyć, że dzisiejszy prezes Związku moralnie i materyalnie w swych osobistych sprawach może być jak każdy człowiek niezależnym, ale taka niezależność materyalna, czy moralna p. prezesa nikomu ze Związku na nic się nie przyda.

Do popierania zaś interesów zawodowych urzędnictwa i profesorów, jak unormowania stosunku służbowego, awansu, zdobycia praw obywatelskich, służą poszczególne organizacye zawodowe a najmniej Związek ekonomiczny, który ledwo w zeszłym roku na skutek nawoływania organizacyi urzędniczej lwowskiej zdobył się na *odbycie jednego wiecu w sprawie awansów urzędniczych i pragmatyki służbowej.*

I podczas, gdy za serdeczną i niezmordowaną pracę w obronie praw zawodu i w przykrej walce o zdobycie sprawiedliwszej doli złamaną została niejedna egzystencya urzędnika państwowego lub kolejowego, panowie z Magistratu, przodujący dziś Związkowi ekonomicznemu a zarazem zawodowej organizacyi miejskich urzędników, **nie dali** dotąd ogółowi urzędnictwa w Krakowie **budującego przykładu** i dlatego od przewodniczenia temu ogółowi **powinni być słusznie odsądzeni.**

Dotychczas bowiem nie jest załatwioną sprawa wliczania urzędnikom Magistratu do emerytury **dodatku aktywalnego**, względnie kwaterowego, co już urzędnicy państwowi, kolejowi i profesorzy dawno jako ustawę przeforsowali.

Wnioski w tej sprawie zgłoszone przezemnie podczas rozpraw nad budżetem przed trzema laty przyjęła życzliwie Rada miejska, znajdują się przeto urzędnicy miejscy w stokroć lepszem położeniu od tego, w jakiem walczyły o należne urzędnikom prawa inne organizacye urzędnicze zawodowe. Niechże tedy panowie z Magistratu kierujący organizacyą miejskich urzędników a zarazem Związkiem zrobią najprzód porządek u siebie, zanim zabiorą się do polityki Związku i kierowania urzędnikami innych dykasteryi.

Na zakończenie tych uwag, zwracam się do p. radcy Magistratu, autora bezimiennego sprawozdania z tem oznajmieniem, że jak długo zwalczał mnie skrycie, nie reagowałem przeciw temu, jakkolwiek dawno o tem wiedziałem. Skoro zaś w owem sprawozdaniu pozwolił sobie na zbyt osobiste wycieczki przeciw mnie i na złośliwą a niesprawiedliwą krytykę mej wprawdzie skromnej, lecz w ciężkich warunkach urzędnika uczciwie spełnianej pracy obywatelskiej, zmusił mnie moralnie do tego, że przestałem milczeć. Radzę mu też życzliwie, aby na przyszłość, jeśli odnośnie co do mej osoby będzie wykonywał *„robotę na zamówienie“*, miał na tyle odwagi, by swej robocie dał firmę, a nie krył się za plecy Bogu ducha winnego *„redaktora od kozy“*.

Dla szerokiego zaś ogółu urzędnictwa niech momenty przezemnie przytoczone wyświetlą dzisiejszą wartość Związku ekonomicznego, a zarazem będą przestrogą, by ludzie ożywieni dobrą wolą i chęcią pracy społecznej dobrze się namyślili dla kogo i z kim jąć się tej pracy powinni.

Kraków w lipcu 1912.

Szymon Dąbrowski,
st. oficyał poczt. i radny miasta.



DRUKARNIA I STEREOTYPIA EUGENIUSZA I Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH W KRAKOWIE.